





JA I MIŁOŚĆ

czyli to i owo o kochaniu dla tych,
którzy czasem lubią porozmyślać

© by Wydawnictwo Lupan Anna Kościółek, Tarnów 2021

ISBN 978-83-961185-0-9

Autor:

Anna Kościółek

Autor ilustracji:

Joanna Popek-Solak

Projekt okładki:

Joanna Popek-Solak

Skład i łamanie tekstu:

Łukasz Sady

Korekta tekstu:

Andrzej Dobrowolski

Monika Łabędź-Łakoma

Maria Srebro

Wydawca:

Wydawnictwo Lupan – Anna Kościółek



ul. Ludowa 26

33-100 Tarnów

Tel: 668-317-514

e-mail: kontakt@wydawnictwolupan.pl

www.wydawnictwolupan.pl



Druk:

Pasaż sp. z o.o.

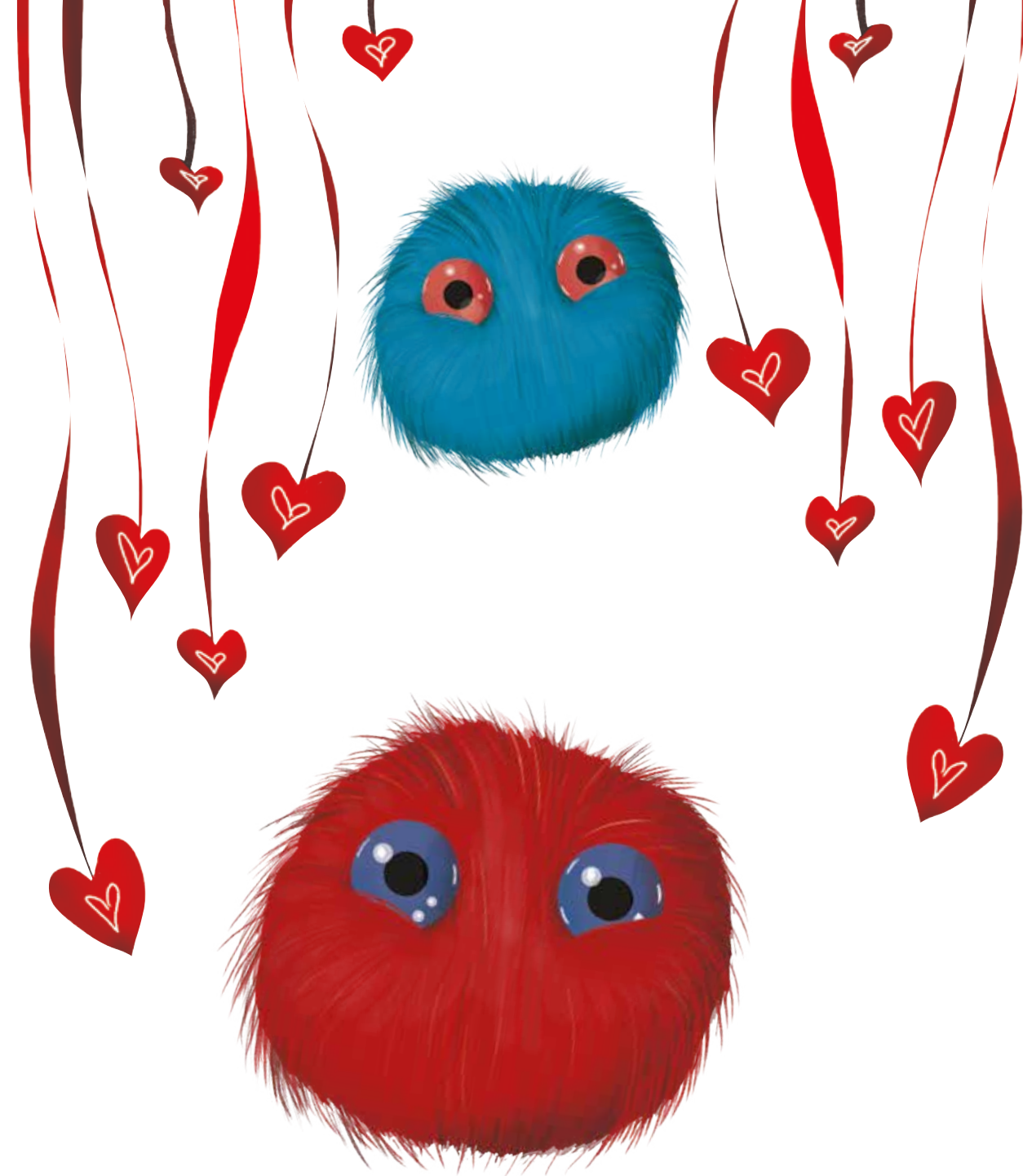
Rydlówka 24

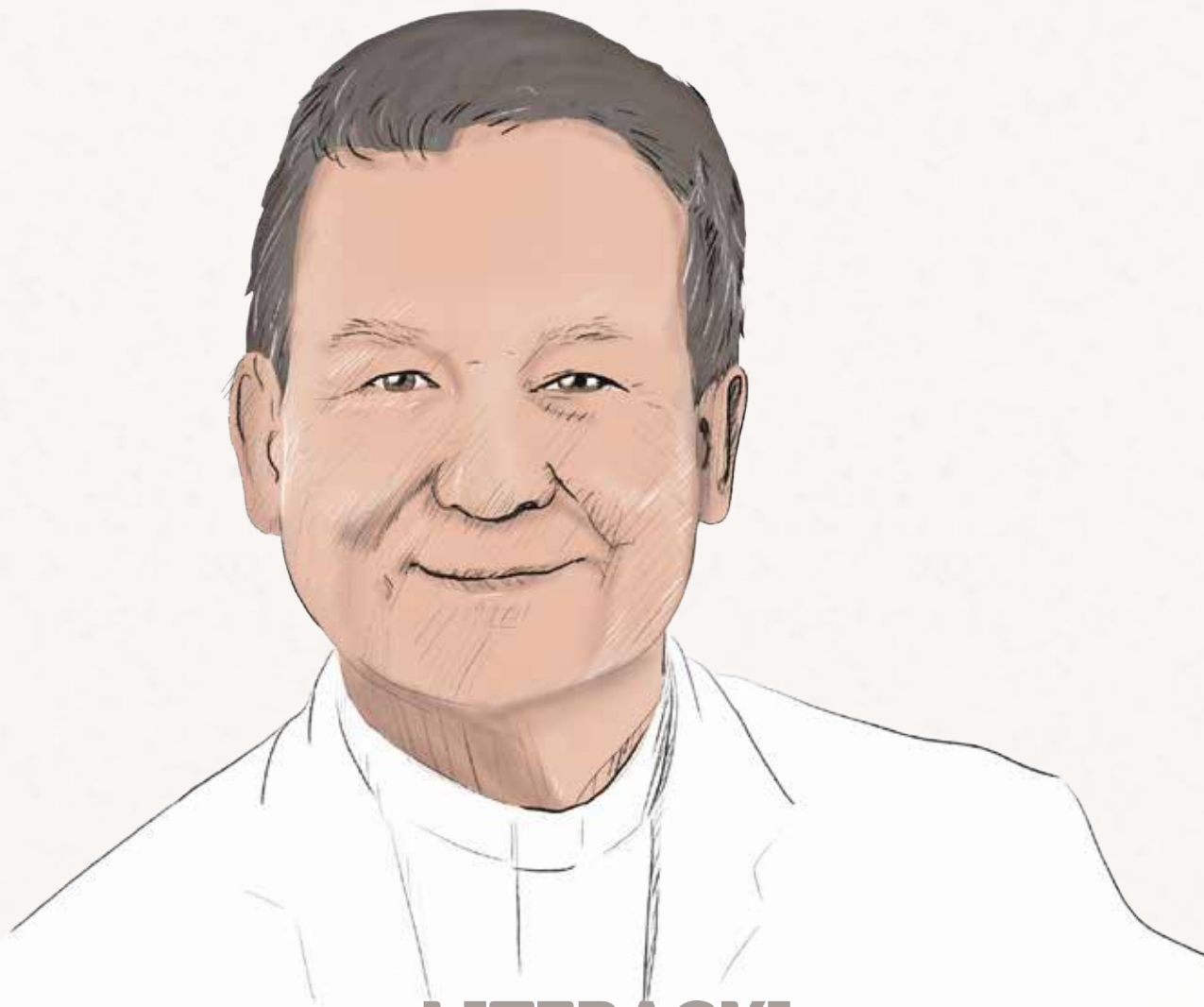
30-363 Kraków

Spis treści

Literacki portret miłości	8
Słowo do rodziców	13
O czym i dlaczego	18
Zanim zaczniemy...	25
Ja	29
Rysowanie myślami	30
Bajdulowe ogrody	34
Myśl pierwsza	76
Myśl druga	81
Myśl trzecia	88
Myśl czwarta	93
Myśl piąta	99
Myśl szósta	103
Myśl siódma	108
Naprawcza misja Fikumika	115
Miłosne podróbki	136

Miłość	141
Pocztą Wyczuwajkowa	141
Rozpoznanie pierwsze	173
Przytulasy Misia Przytulisia	185
Rozpoznanie drugie	206
Opowiadanie o dwóch smutnych bajkowych wątkach, które wreszcie dobrze się skończyły	216
Rozpoznanie trzecie	239
Bajka o akcji ratunkowej pięknej Mądrorzeki	248
Rozpoznanie czwarte	270
Bajka o poemacie dla róży sercowatej	278
Rozpoznanie piąte	301
Bajka o tym, jak to Rozum stracił rozum, a Wyobraźnia wyobraźnię	312
Rozpoznanie szóste	342
Ja i miłość	355
Opowieść o pięciu pamiątkach z pięciu niezwykłych krain	356
Niebiańska Tajemnica	369
<i>Kraina Mądrości</i>	373
<i>Kraina Wierności</i>	378
<i>Kraina Przebaczenia</i>	381
<i>Kraina Wolności</i>	384
<i>Kraina Chcisiów i Niechcisiów</i>	387
Miłością trzeba żyć!	395
Ps	397





LITERACKI PORTRET MIŁOŚCI

Książki dla dzieci, które uczą nas odróżniać dobro od zła, czyli szczęście od nieszczęścia, są **błogosławieństwem** nie tylko dla małych czytelników, ale także dla ich rodziców. Uczą bowiem – i małych, i dużych – odróżniać postawy i zachowania, które prowadzą do radości, od postaw i zachowań, które prowadzą do smutku.



Sprzyjają nabywaniu mądrości. A człowiek mądry odznacza się wrażliwością moralną, która dosłownie ma wartość ocalającą.

Jeśli bowiem nie odróżniamy drogi błogosławieństwa i życia od drogi przekleństwa i śmierci, to zwykle zbaczamy na drugą z nich, choćby dlatego, że nie stawia ona żadnych wymagań, a więc na początku wydaje się o wiele przyjemniejsza i przez to bardziej pociągająca. Dopiero później okazuje się bezdrożem wiodącym nas na manowce i jako taka w końcu przynosi bolesne rozczarowanie. Bajki i baśnie są swoistymi **drogowskazami**. Dobro i zło, szczęście i nieszczęście, szlachetność i podłość, mądrość i naiwność ukazują w tak prosty, a jednocześnie w tak precyzyjny sposób, że ich czytelnik – bez względu na wiek – może dzięki nim poczuć się pewnie w skomplikowanej rzeczywistości moralnej, jaką jest jego życie.

Jedną z takich błogosławionych książek napisała Anna Kościółek. **Ja i Miłość** to książka adresowana do dzieci od szóstego roku życia do... no właśnie. Wydaje się, że nie sposób wykluczyć jakiegokolwiek grupy wiekowej z grona jej czytelników. Ma ona bowiem coś z kalejdoskopu. Każdy rok życia, każde nowe doświadczenie to kolejny jego obrót sprawiający, że kolorowe szkiełka układają się w nim w nowy wzór. Ten sam czytelnik wracający po pewnym czasie do lektury tej książki za każdym razem zobaczy coś innego. Jest tu zatem analogia do *Malego Księcia*. Sceneria, fabuła i bohaterowie powiastki Antoine'a de Saint-Exupéry'ego intrygują już małe dzieci, lecz egzystencjalne przesłanie, jakie z niej płynie, w pełni są w stanie objąć dopiero ludzie naprawdę dojrzały. Podobnie jest z książką *Ja i Miłość*.



Przede wszystkim uderza skala wyzwania, przed jakim Anna Kościółek stanęła. Autorka postanowiła się bowiem zmierzyć z **najważniejszym**, ale i – nie ma co kryć – **najtrudniejszym** pytaniem na świecie, jakim jest pytanie o to, **czym jest miłość**. Dzieci z upodobaniem stawiają rodzicom pytanie: „Mamo, tato, kochasz mnie?”. Intuicyjnie wyczuwają, że być kochanym to coś, co sprawia, że chce się żyć. Odpowiedź Anny Kościółek składa się z trzech części: *Ja, Miłość oraz Ja i Miłość*. Dzięki podjęciu tej tematyki autorka pomaga małemu – i dużemu! – czytelnikowi



zrozumieć wszystko, co najważniejsze, czyli **samego siebie, naturę miłości**, a także jej **znaczenie we własnym życiu**. Oczywiście, za tym wszystkim kryje się Bóg, który sam jest Miłością. Już w pierwszej części czytelnik będzie miał okazję się przekonać, że dla Boga jest kimś niepowtarzalnym, ale też że jest do Niego podobny, czyli zdolny do tego, aby kochać i być kochanym, a poza tym, że co prawda jest osłabiony skutkami grzechu pierworodnego, lecz jednocześnie obdarzony rozumnością i wolnością, aby mógł współdziałać z Bogiem w wyzwaniu się z własnych ograniczeń i stale rozwijać.

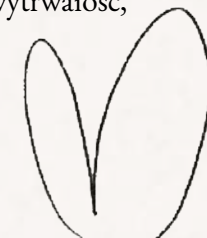
Powieść Anny Kościółek rozgrywa się w dwóch wymiarach: w baśniowym świecie, który autorka nazwała Sapientią, oraz w naszym rzeczywistym świecie, do którego co rusz powracamy, aby wyciągać ważne wnioski dla naszego życia tu i teraz. Pośrednikiem między nimi jest autorka, która, korzystając z gościny u **Rozumu i Wyobraźni**, często bywa w Sapientii. Przywoływane przez nią przygody bajkowych postaci odsłaniają najważniejsze prawdy o nas, o Bogu i o miłości, za jaką tęsknimy. Uświadamiają, że miłość to tak naprawdę zdolność do stawiania się najpiękniejszą wersją samego siebie i że życie wtedy tylko ma sens, kiedy robimy wszystko, aby tę zdolność w sobie pogłębiać. A jednocześnie *Ja i Miłość* to zbiór bajek i rozmyślań, dzięki którym jesteśmy w stanie uchronić się przed pozorami miłości, które – korzystając z naszych wewnętrznych słabości i zewnętrznych pokus – chciałyby zastąpić miłość jej ersatzami. Anna Kościółek pomaga więc czytelnikowi uwolnić się od wpływu modnych obecnie mitów i karykaturalnych wyobrażeń na temat miłości. A trzeba pamiętać, że mylenie miłości z czymś, co tylko wydaje się miłością, bywa śmiertelnie groźne. Często taka pomyłka prowadzi do ogromnych rozczarowań, krzywd, cierpień, a nawet do śmierci.

Anna Kościółek jest żoną, mamą, czyli kimś, kto – zaraz po Bogu – najlepiej zna się na miłości i kto na co dzień miłość praktykuje. Jest też pisarką, więc umie swoją wiedzę na temat miłości i doświadczenie w tej dziedzinie ubrać w słowa i przekazać innym. W sposób mistrzowski autorka opisuje istotę tej miłości, jakiej uczy nas Jezus. A Jego miłość to troska o kochane osoby, o ich rozwój, o ich dorastanie do świętości. To miłość **bezwarunkowa i nieodwołalna**. To miłość okazywana z bliska i widzialnie: poprzez obecność, ofiarność i czułość. To miłość, która nie cofa się przed cierpieniem i która jest silniejsza od śmierci. To jednocześnie miłość okazywana w mą-

dry sposób, czyli w słowach, czynach i gestach dostosowanych do sytuacji i sposobu postępowania kochanej osoby. To miłość, która wymaga od nas po prostu ofiarowania nas samych – i to dzień po dniu, a nie jedynie z racji szczególnych okazji.

Bez jakiegokolwiek przesady można powiedzieć, że *Ja i Miłość* Anny Kościółek to **literacki portret miłości**, malowany **pędzlem serca** i jednocześnie **pędzlem rozumu**. Autorka we frapującej formie opisuje miłość i jej owoce, z których pierwszym jest zaskakująca radość – zarówno nasza, jak i tych, których kochamy. Kto naśladowuje miłość Jezusa, ten sam doświadcza jej mocy. Kto kocha, ten buduje dom na skale. Kto trwa w miłości, ten nie tylko sam idzie drogą błogosławieństwa i życia, ale i sprawia, że idą nią wraz z nim ci wszyscy, którym okazuje miłość. To właśnie podejście do miłości wyjaśnia, dlaczego niektórzy ludzie – nawet młodzi, piękni, zdrowi, utalentowani, sławni i bogaci – są nieszczęśliwi, bliscy rozpacz, a inni – pozbawieni tych wszystkich atutów – są pełni nadziei i tryskają radością życia. Ci pierwsi nie przyjmują miłości, albo nie odpowiadają miłością na miłość. Ci drudzy kochają i wiedzą, że są kochani.

Anna Kościółek opisuje miłość nie tylko jako szczyt dobroci i ofiarności, ale i szczyt mądrości i odpowiedzialności. W ten sposób pomaga czytelnikom w odkryciu prawdy, że codzienne praktykowanie miłości wymaga współpracy serca z rozumem i wolą. Uświadamia też, że miłość nie jest ani stanem emocjonalnym, ani ideą, lecz **postawą osoby wobec osoby**. Miłość to sposób, w jaki Bóg odnosi się do każdego z nas, a co za tym idzie, to także sposób postępowania tych ludzi, którzy naśladowują Boga. Miłość rodzi się w naszych sercach, ale powinna ona znaleźć też zewnętrzny wyraz. Dopóki bowiem pozostaje w sercu, dopóty nie ma szans zrodzić owoców. Zaczyna przynosić błogosławione owoce wtedy, gdy przejawia się w naszych słowach, gestach i czynach. *Ja i Miłość* to fascynująca książka o poszukiwaniu miłości i o cierpliwym poznawaniu jej przymiotów, do których należy mądrość, wierność, ofiarność, wytrwałość, cierpliwość, gotowość do przebaczenia. Kochać to być darem dla innych. Jest to osiągalne dla tych ludzi, którzy osiągnęli wysoki poziom osobistej wolności i panowania nad sobą. Wiele zależy od tego, na ile władamy swoim ciałem, swoimi popędami, emocjami,



nad zmęczeniem i zniechęceniem, do jakiego stopnia jesteśmy odporni na pokusy egocentryzmu i egoizmu.

Kto kocha, ten staje coraz bardziej podobny do **Boga**, a jednocześnie staje się **najpiękniejszą wersją samego siebie**. Kto zaczyna kochać, a więc niejako wspinać na najwyższy szczyt własnej egzystencji, ten staje się świadkiem Boga na ziemi, czyli świadkiem dobra, prawdy i piękna, bo wszystkie te wartości w Nim mają swoje źródło. Bóg to niedościgniony Mistrz Miłości. Kto poznaje Boga i przyjmuje Jego miłość, ten nie musi uczyć się miłości po omacku czy metodą prób i błędów. Bóg jako Mistrz Miłości stał się widzialny po to, abyśmy naocznie mogli się przekonać, w jaki sposób On nas kocha i w jaki sposób mamy kochać samych siebie i siebie nawzajem. To Jezus Chrystus udzielił nam ważnej rady: **„Miłujcie się wzajemnie, tak jak Ja was umiłowalem”** (J 15,12). Aby się przekonać, że trudno o mądrzejszą radę, wystarczy sięgnąć po książkę Anny Kościółek.

ks. Marek Dziewiecki

doktor psychologii, wykładowca, rekoлекcjonista, specjalista w dziedzinie profilaktyki uzależnień, autor ponad 70 książek i audiobooków o człowieku i wychowaniu



**Słowo
do rodziców**

Drodzy Rodzice, którzy odważyliście się towarzyszyć dziecku w czytaniu tej książki!

Trzymacie w rękach wyjątkową opowieść – **literacki portret miłości**.

Jeśli mu się dobrze przyjrzyjecie, to zapewne bez trudu uda się wam zauważyć, że jest on niezwykle przynajmniej z dwóch względów. Po pierwsze, ze względu na samą miłość. Dla nikogo chyba nie ulega wątpliwości, że mimo iż jest ona **kluczem do szczęścia** – i to zarówno w doczesnym, jak i wiecznym życiu nas samych i naszych dzieci – to jej oblicze wcale nie jest powszechnie znane. Wprost przeciwnie – zasadniczym jej rysem wydaje się nieuchwytność. Trzeba się więc sporo natrudzić, aby złapać ją w odpowiednie słowa. Po drugie, portret ten jest niezwykle ze względu na sposób przedstawienia miłości. Właśnie w związku ze zmiennością jej oblicza portret ten musi być tak sprytnie pomyślany, aby wszyscy byli w stanie ją rozpoznać. I tak właśnie jest. Co innego zobaczy sześciolatek, co innego – jego starszy brat czy starsza siostra, a jeszcze co innego – Wy, drodzy Rodzice. Zapewniam was jednak, że wszyscy zobaczycie miłość, tyle że zgodnie ze swoim życiowym doświadczeniem. Co więcej, jest szansa, że jeśli zaczniecie się wspólnie wpatrywać w portret miłości, to zacznie ona przed waszymi oczyma odsłaniać różne swoje oblicza, a to pod wpływem współpracy między **rozumem i wyobraźnią** każdego z was.

Rozum taty będzie współdziałał z wyobraźnią dziecka, wyobraźnia mamy z rozumem dziecka, a rozum mamy z wyobraźnią taty... – naprawdę musicie być gotowi na różne kombinacje zaangażowania waszych serc i mózgów.



Czytając tę książkę mojemu sześcioltnemu synowi, Szymonowi, przekonałam się, że aby wspólnie przez was spędzony czas z dzieckiem okazał się jak **najbardziej owocny**, dobrze będzie pamiętać o kilku sprawach:



jeśli to możliwe, zanim zaczniecie czytać tę książkę swoim pociechom, przewertujcie ją sami, aby poznać bohaterów, sposób opowiadania o nich i ich świecie, i zastanówcie się, co to wszystko ma wspólnego z miłością taką, jak wy ją pojmujecie;



to nie jest książka do ukołysania dziecka, kiedy balansuje ono na granicy jawy i snu; bez waszego zaangażowania się nie obejdzie, i to bez względu na wiek dziecka, jeśli więc będzie ono zmęczone czy rozproszone, przełóżcie lekturę na inną okazję;



każde dziecko jest niepowtarzalne, dlatego wasze wsparcie podczas wspólnych rozmyślań nad miłością musi być dostosowane do jego wyjątkowości; w swoich rozmowach przywołujcie znane dziecku sytuacje, odwołujcie się do jego własnych doświadczeń; oczywiście, dzielcie się też własnymi.

Najważniejsze jednak, abyście nie traktowali swojej roli zbyt poważnie. Nie zapominajcie, że lektura tej książki to także – jeśli nie przede wszystkim – **zabawa**. Świadczy o tym sama jej postać graficzna. Mam nadzieję, że ilustracje nastrajają już wasz rozum i wyobraźnię na właściwą częstotliwość. Nie śpieszcie się. Czy czujecie już ekscytację przed podróżą? Wyjątkowa przygoda z miłością czeka na was tuż za progiem...

Nie pozostaje mi więc nic innego niż życzyć wam niezapomnianych wrażeń z pobytu w Sapientii!

Autorka



Ja i Miłość

czyli to i owo o kochaniu dla tych,
którzy czasem lubią porozmyślać

Bajki i rozmyślenia zainspirowane konferencją
ks. Marka Dziewieckiego pt.:

„Przysięga małżeńska i jej konsekwencje”

wygłoszoną podczas rekolekcji
Wspólnoty Trudnych Małżeństw SYCHAR
Porszewice, kwiecień 2013 r.



O CZYM I DLACZEGO

*czyli historia prawdziwa o gościu, który się spóźnił,
o dziwnym instrumencie, niezwykłych nutach,
rozmyślaniu zupełnie nie w porę, o rozbieganych myślach
i o tym, jak to wszystko się zaczęło...*

To był późny wieczór... Po długim, gorącym dniu lata szarość nieba wreszcie na tyle zgęstniała, na tyle się pogłębiła, że dzień na dobre wyszedł z pokoju chłopca za próg, cichutko zamykając za sobą drzwi. Można było odetchnąć z ulgą, zupełnie jak wtedy, gdy zakończy odwiedziny ktoś, kto zasiedział się za długo. W ochłodzonej nocnym powietrzem sypialni z wolna dawał się wyczuć odpowiedni nastrój ku temu, aby wreszcie spokojnie zasnąć...

Ach ten Sen!

Tak to już z nim bywa, że z racji niezbyt żwawego temperamentu niekiedy gdzieś się zasiedzi, przegapi, że powinien już być w drodze do pracy na nocną zmianę, albo jakaś gaduła zajmie go opowieścią o tym, gdzie był i co robił, gdy spał ostatniej nocy, tak że Sen nie zawsze zdoła dotrzeć do wszystkich na czas. **Tego wieczoru zwlekał z wizytą u Szymona...** Chłopiec od dłuższego czasu leżał już w łóżku w oczekiwaniu na Sen. Minął czas modlitwy, czytania bajki, a także czas rozkopywania kołdry, która – z powodu ciepłego wieczoru – niczym wierny psiak leżała zwinięta w kłębek u jego stóp. Minął czas przytulania się do mamy oraz czas szukania wygodnej pozycji do spania. Szymon długo nie mógł się zdecydować na wybór odpowiedniej. Teraz, leżąc na boku, to podśpiewywał coś pod nosem, to znów wydawał z siebie stłumiony odgłos rozpędzonego autka, które przekładał między palcami. Tu warto nadmienić, że jego dłoń każdej nocy zmieniała się w garaż dla któregoś z malutkich autek z kolekcji. Jednocześnie raz po raz spoglądał na mamę, sprawdzając, czy aby jakimś cudem nagle nie znikła.

Szymon nie lubił zasypiać sam. Mama albo tata byli niezbędni do tego, aby po prostu być. Tego wieczoru akurat była przy nim mama. Siedziała na skraju łóżka, bezgłośnie kibicując wieczornemu wyciszeniu chłopca. Z niecierpliwością wyczekiwała sennego gościa, który spóźnił się z wizytą u synka. Obiecała sobie, że gdy tylko nadejdzie, zwróci mu uwagę, że do dzieci powinien przychodzić w pierwszej kolejności, szczególnie do takich, które – podobnie



jak Szymon – za dnia wyjątkowo dokazują. I tak – układając w głowie plan na spędzenie reszty wieczoru i reprimendę dla opieszałego Snu – z opóźnieniem zauważyła, że silnik autka na dobre zamilkł, a mały wiercipięta zastygł niemal w bezruchu. Spojrzała na twarzyczkę chłopca. Jeszcze nie spał, ale to była już kwestia tylko kilku chwil – przynajmniej tak myślała mama.

– **No wreszcie...** – szepnęła z przyganą, co na tę chwilę miało zastąpić wszystkie wyrzuty względem spóźnialskiego Snu. W tej chwili nie chciała przeszkadzać mu w misji ukołysania synka.

Do pokoju przez uchylone okno wpadł silniejszy podmuch wiatru, niosąc ze sobą przyjemną rzeźkość. Może i wiatr chciał posłuchać niepowtarzalnej kołysanki wygrywanej przez Sen na jego dziwnym instrumencie? Kołysanka brzmiała jak zwykle... niezwykle. Sen raz po raz spoglądał na zapisane w kajeciku nuty, które każdego wieczoru układał w nieco innej kolejności, przez co melodia kołysanki nigdy nie była dokładnie taka sama. Były to niezwykle nuty: niepowtarzalny zapach pokoju wypełnionego młodzieńką nocą; światło lampki, która przyświecała Szymonowi do snu, odkąd tylko pamiętał; wyjątkowa miękkość i kształt podusi pod jego głową i dźwięk ciszy, w której rozpraszały się dochodzące zza zamkniętych drzwi odgłosy wieczornej krzątania taty i starszego rodzeństwa chłopca. Sen w swej kołysance układał te nuty w niezwykle piękny, łagodny utwór pod tytułem **Poczucie bezpieczeństwa...**

Mama zamknęła oczy, wsłuchując się w tę kojącą melodię. Jeszcze trochę, a sama dałaby się jej ukołysać.



– **Mamo...** – głos Szymona zatrzymał ją w objęciach jawy niemal w ostatniej chwili. Ba, sam Sen zerwał się na równe nogi, przez co nuty końcówki kołysanki zupełnie się pomieszały. Jak to możliwe, że jego podopieczny jeszcze nie śpi?


– **Co się stało?** – zaniepokoiła się mama.

– **A co to jest miłość?** – zapytał rzeczowo Szymon.

Wnikliwe spojrzenie chłopca upewniło mamę, że niemożliwe stało się możliwe. Nie dość, że jakimś cudem smyk nadal nie śpi, to jeszcze pyta o...

– **Miłość...? Co to jest miłość?** – powtórzyła mama, nie bacząc na uciszające gesty Snu. Jednocześnie wywołała do odpowiedzi samą siebie.

Miała zaledwie kilka sekund na zebranie myśli – przecież dziecku trzeba jakoś mądrze odpowiedzieć. A myśli skołowane senną kołysanką zaczęły chaotycznie biegać w głowie mamy, przynosząc ze sobą to, co akurat wpadło im w ręce na ten temat. No i jak ona ma to wszystko uporządkować, aby opowiedzieć prawdę o miłości kilkuletniemu dziecku tak, aby zrozumiało? Zaraz potem pojawił się wyrzut, że nie przygotowała się wcześniej na podjęcie tak ważnego tematu. „No ale wcześniej Szymon nigdy o to nie pytał!” – przybyło z pomocą usprawiedliwienie. „Przecież to zabiegane dziecko, nie jest typem myśliciela, które przychodzi do rodzica z propozycją rozmowy na taki czy inny poważny temat, a miłość z pewnością trzeba do takich zaliczyć. Owszem, mama i tata na co dzień starają się swym postępowaniem pokazywać, czym jest miłość, ale to coś zupełnie innego, niż



opisać ją słowami, które oddadzą jej prawdziwe, piękne oblicze. Mama wiedziała, że to bardzo ważne, aby umieć rozpoznać prawdziwą miłość i umieć prawdziwie kochać. Ta umiejętność to klucz do szczęścia, które nigdy się nie kończy, tak jak na przykład... kończy się tabliczka czekolady czy fascynacja nową zabawką. Mama westchnęła, aby dodać sobie otuchy i przywołać myśli do porządku.

– **A ty, co o tym myślisz? Co to jest miłość?** – zadała Szymonowi dokładnie to samo pytanie, tyle że... odpowiedź pytaniem na pytanie nie jest żadną odpowiedzią.

Cóż, jej myśli z trudem wracały na właściwe miejsce, dlatego postanowiła opóźnić odpowiedź. A może... poznanie opinii chłopca pomoże jej zdecydować, co powiedzieć najpierw, a co potem?

Szymon spojrzał mamie w oczy, a potem bez słów wtulił się w jej ramiona. Mama uśmiechnęła się z czułością na tę odpowiedź i pogłaskała dłonią jego czuprynę.

– Wiesz, Szymonku – odezwała się po chwili ciszy – miłość to coś najwspanialszego, najważniejszego, co możesz dać innym i czego możesz doświadczyć od innych. To gwarancja szczęścia, które nigdy nie traci ważności. Jeśli nie będziesz umiał rozpoznać prawdziwej miłości, to ktoś będzie w stanie podsunąć ci jej podróbkę, a wówczas możesz mieć kłopoty. Trudno jednak opisać, ot tak, coś, co nie jest rzeczą i czego nie można wprost dotknąć, a mimo to JEST! Od czego by tu zacząć? – zastanawiała się mama, całując głowę chłopca. Niemal w tej samej chwili wpadł jej do głowy pewien pomysł. – A gdybym tak... – głośno myślała – **gdybym tak napisała dla ciebie o tym książkę?** Książkę pełną ciekawych opowieści ze szczyptą poważnych rozmyślań. Książkę,

z którą razem, krok po kroku, odkrywaliśmy, co jest miłością, a co nią nie jest? Chciałbyś, abym ci taką czytała?

Chłopiec przytaknął ruchem głowy, podkładając pod dłoń mamy swój policzek.

– Już wiem, jak ją zacznę! – mama z trudem hamowała entuzjazm. – Opiszę, jak to pewnego wieczoru, chłopcu, który zwykle nie miał czasu i ochoty na poważne rozmyślanie, zdarzyło się porozmyślać o tym, co w życiu najważniejsze. Ciekawe, czy zgadniesz, o kim mówię? – zagadnęła tajemniczym tonem.

Nikt jej nie odpowiedział. Miarowy, spokojny oddech Szymonka tylko utwierdził ją w przekonaniu, że wreszcie zasnął głębokim snem.

– **Dobra robota...** – mama szepnęła do Snu z uznaniem, po czym cichutko wyszła z pokoju. Sama nie mogła w to uwierzyć, że zamiast zganić spóźnialskiego, pożegnała go pochwałą.

A Sen, niezwykle z siebie zadowolony, zamknął kajecik z nutami, schował do futerału instrument, na którym wygrywał kołysankę i – korzystając z kolejnego powiewu wiatru – dał się unieść przez uchylone okno dalej i dalej... Przecież tej nocy miał jeszcze wiele sennych kołysanek do odegrania.



Drogi czytelniku, ta historia wydarzyła się naprawdę. Napisałam tę książkę dla Szymona, ale... może i tobie zdarza się czasem, tak jak jemu, porozmyślać o ważnych sprawach? Bez względu na to, jak było do tej pory, zapraszam cię do wspólnej przygody w poznawanie miłości. Bądź pewien, że ta przygoda wyjdzie ci na szczęście.

Ufff... W naszej wspinaczce na szczyt góry miłości pokonaliśmy już spory kawałek drogi. Teraz możemy chwilkę odpocząć i rozejrzeć się myślami wkoło, podziwiając piękne widoki.

Jestem czegoś ciekawa... Czy – kiedy tak się rozglądasz i podziwiasz odkryte myśli – nie zastanawiasz się, **skąd ja je znam?** No pomyśl, skąd mogę to wszystko wiedzieć?

Może mi się przyśniło?

Albo wysłałam to sobie z palca?

Albo wyczytałam w jakimś poradniku profesora zwyczajnie nadzwyczajnego?

Albo przeczytałam gdzieś między wierszami?

Albo usłyszałam to od jednej pani, kiedy stałam w kolejce po chleb, a ta pani wie o tym od innej pani, której sąsiadka dowiedziała się tego od córki kolegi jej syna?

A może... zbyt długo zasiedziałam się u Wyobraźni, kiedy Rozum miał katar i to popołudnie spędził u siebie, na Bystrej Górze?

No i co? Która odpowiedź wydaje ci się najbardziej prawdopodobna?

Zanim dokonasz ostatecznego wyboru, udaj się ze mną do Sapientii, słuchając pewnej historii...



NAPRAWCZA MISJA FIKUMIKA

*czyli opowieść o ulicy Sennych Marzeń; o złotych rękach, choć wcale nie ze złota;
o nocnych bałasach; o szklanych oczach; o pewnym pagórku z torem przeszkód
i rozbawionych krasnalętach; o zupełnie pustym schowku, niechcianej kąpieli
i o pysznej zupie cebulowej*

Jako że bardzo lubię odwiedzać Sapientię, więc od czasu do czasu trafiam w niej na którąś z bajkowych postaci. Może się zdarzyć, że będzie to nasz wspólny znajomy. O, na przykład **ostatnio pogawędziłam sobie ze... Śpiącą Królowną**. Tak, tą samą, co to w swojej bajce sto lat spała, a razem z nią całe królestwo. Królowna przechadzała się właśnie parkowymi alejkami nieopodal swego zamku z wysoką wieżą, oczekując na powrót posłańca, który miał odebrać z naprawy wrzeczono z jej kołowrotka. Zepsuło się niespodziewanie, przez co stuletni sen w jej bajce stał pod dużym znakiem zapytania. Siłą rzeczy nasza rozmowa zesłała na temat psucia się różnych baaardzo potrzebnych rzeczy, które powoduje, że w pocie czoła opracowany przez nas całodzienny plan działań trzęsie się w posadach. Pamiętam, jak kiedyś zepsuł mi się ekspres do kawy. Pewnie dla ciebie brak aromatycznej kawy rano to żaden problem – przypuszczam bowiem, że jeszcze nie rozsmakowałaś się w tym czarnym jak smoła specjale. Śpiąca Królowna jednak – jak się okazało – ogromnie lubi kawę – ba, wręcz nie może się bez niej obejść w przerwach między swoimi stuletnimi drzemkami – więc doskonale rozumiała, co to znaczy awaria ekspresu do kawy. Przy okazji opowiedziała mi pewną historię, która wydarzyła się w Bajkowej Krainie, zanim jeszcze bajkowe stwory znalazły dom u Bajduła. A oto i ona...

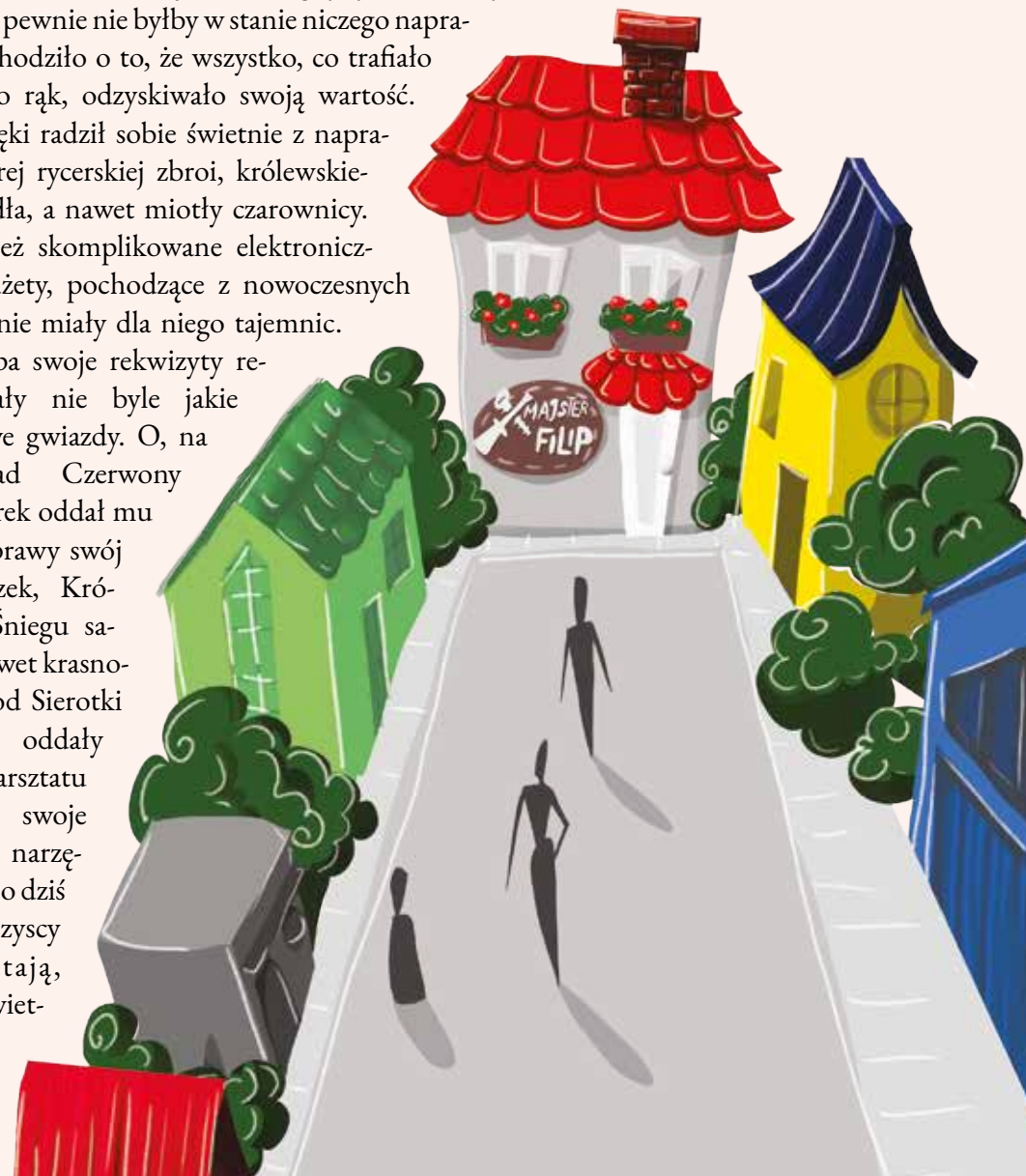
W Bajkowej Krainie, a ściślej mówiąc w miasteczku w niej położonym, było wiele bajkowo krętych ulic o bajkowo wymyślnych nazwach. Przy tych ulicach stało mnóstwo fantastycznych, ale też sporo całkiem zwyczajnych budynków rodem z wielu, wielu znanych ci bajek. Wśród tych ulic jedna była szczególna, a przy niej znajdował się szczególnie budynek, zajęty przez szczególnego mieszkańca. Ale po kolei... Ulica nosiła miano **Sennych Marzeń**. Była wyjątkowa głównie z tego powodu, że – choć położona na uboczu – codziennie przemierzało ją nie tylko mnóstwo mieszkańców Bajkowej Krainy, ale też cały zastęp przybyszów z odległych jej okolic. Popularność ta wynikała po prostu z tego, że na końcu ulicy Sennych Marzeń mieszkał **majster Filip** – brat Szewczyka Dratewki, tego, co to rozprawił się z wawelskim smokiem. Dom Filipa był okazały, piętrowy, na tyle duży, że mogłaby się w nim pomieścić rodzina z gromadką dzieci. A jednak... choć w domu mieszkał tylko Filip, to z trudem mógł on w nim wygospodarować miejsce na przyrządzenie posiłku czy odpoczynek. Było tak dlatego, że niemal każdy wolny kąt na parterze i piętrze zajęty był setkami różnych popsutych rzeczy, które czekały na naprawę. Ich właścicielami były bajkowe postacie z całej Sapientii. Filip w swym warsztacie, na parterze domu, naprawiał

bowiem wszystkie akcesoria, które autorzy bajek wymyślili dla swych bohaterów. A że stale używane rzeczy od czasu do czasu ulegają uszkodzeniom, pracy miał co nie miara. Filip od zawsze świetnie dawał sobie radę z tak odpowiedzialnym zajęciem, tak że każdy zepsuty rekwizyt na czas wracał do swojego właściciela, bez szkody dla przebiegu bajkowej akcji. Talent, precyzja, wyczucie piękna, doświadczenie i pasja Filipa sprawiły, że wkrótce otrzymał przydomek Złotoręki. **Filip Złotoręki**, rzecz jasna, wcale nie miał rąk ze złota, gdyby bowiem było ina-

czej, to pewnie nie byłby w stanie niczego naprawić. Chodziło o to, że wszystko, co trafiało do jego rąk, odzyskiwało swoją wartość. Złotoręki radził sobie świetnie z naprawą starej rycerskiej zbroi, królewskiego siodła, a nawet miotły czarownicy. Również skomplikowane elektroniczne gadzety, pochodzące z nowoczesnych bajek, nie miały dla niego tajemnic.

U Filipa swoje rekwizyty reperowały nie byle jakie bajkowe gwiazdy. O, na przykład Czerwony Kapturek oddał mu

do naprawy swój koszyczek, Królowa Śniegu sannie, nawet krasnoludki od Sierotki Marysi oddały do warsztatu Filipa swoje zużyte narzędzia. Do dziś też wszyscy pamiętają, jak świet-



nie sobie poradził ze stoliczkiem-nakryj-się i kijem-samobijem. Złotoręki zawsze wywiązywał się z obietnic i to, co trzeba było, naprawiał solidnie i na czas. Sytuacja się zmieniła wtedy, kiedy bajkowe stwory zaczęły rozrabiać w miasteczku. Popsutych rzeczy było chyba ze sto razy więcej niż wcześniej. Złotoręki nie dawał sobie rady z nawalem pracy, chociaż dwoił się i troił przy swoim warsztacie. Jego błękitne oczy wyblakły od ciągłego wpatrywania się w zepsute mechanizmy, ręce bolały od ciągłego manipulowania różnymi narzędziami i w ogóle siły go opuściły z niewyspania. Nie

było innej rady – któregoś wieczoru Złotoręki zamknął drzwi warsztatu na cztery spusty i wywiesił na nich kartkę: **„Zamknięte do odwołania!”**.



Oj, nie! Mylisz się, jeśli myślisz, że Filip wyjechał na urlop. Tacy jak on nie myślą o wypoczynku, zanim nie ukończą pracy. Złotoręki wymyślił sposób, aby rozwiązać zaistniały problem, ale... aby tego dokonać, potrzebował nieco ciszy i przede wszystkim spokoju. Na początek wziął kartkę papieru, ołówek, cyrkiel, linijkę i zaczął coś rysować. Rysował i rysował, kreślił i kreślił wciąż nowe linie, okręgi, trójkąty i inne figury; coś wymazywał, coś poprawiał, coś dorysowywał, aż wreszcie... po całym dniu i całej nocy spędzonymi z ołówkiem w ręku z zadowoleniem

kiwnął głową i... poszedł spać. Po przebudzeniu od razu zabrał się do dalszej pracy. Przecież teraz musiał jak najszybciej zbudować to, co zaprojektował. Przygotował

wszystkie potrzebne do tego materiały, no i zaczęło się! Z jego warsztatu dochodziły stuki, puki, szczęki, zgrzyty. To coś odciął, to coś przykleił, to coś przykręcił, to coś odkręcił, to coś wygiął, to coś odgiął, to coś zanitował, to coś zespawał, to coś przetoczył, to coś wyszlifował. Z powodu uciążliwego hałasu mieszkańcy Bajkowej Krainy nie zmrúżyli oka przez kilka nocy z rzędu, ale nie mieli Filipowi tego za złe. Ufali mu w przekonaniu, że cokolwiek teraz robi, przyniesie to wszystkim oczekiwaną korzyść. Tak bardzo byli ciekawi, nad czym pracuje, że czwartego dnia od zamknięcia warsztatu, wieczorem, oblegli jego dom i zaczęli kukać do środka – to przez okno, to przez dziurkę od klucza, to przez szparę w drzwiach. Nie zdążyli jednak niczego wykukać, gdyż nagle drzwi warsztatu otworzyły się na oścież z hukiem, a w progu stanął nie kto inny, jak tylko gospodarz we własnej osobie.

– **Chodźcie tu wszyscy!** – krzyknął, jakby zupełnie nie zauważał, że wszyscy już tu są. – Podejdźcie bliżej! – gestem zapraszał do wnętrza warsztatu. – **Chcę wam kogoś przedstawić...**

Oczywiście, nie wszyscy zdołali zmieścić się w zagrożonym pomieszczeniu, chociaż każdemu na tym bardzo zależało. Przez zastęp szczęściarzy – którzy za cenę guzów nabitych przez otworzone z nagła drzwi znaleźli się w pierwszych rzędach – przeszedł szmer zadziwienia.

– Co widzicie? Mówcie, co Filip zrobił... – pozostali domagali się od nich wyjaśnień.

Oni jednak właściwie nie bardzo wiedzieli, co powiedzieć. Na warsztacie leżała metalowa kula wielkości dyni, ale tak dorodnej, że mogła ona wyjść jedynie spod ogrodniczej ręki Bajdula. Całą jej powierzchnię pokrywały nieco wypukłe kwadracki wielkości kieszonki przy dziecięcej kurtce. Szczęściarze spoglądali na siebie pytająco. Spodziewali się zobaczyć coś niesamowitego, czego nigdy dotąd nie widzieli, a tymczasem przyszło im patrzeć na kulę... Złotoręki zauważył ich konsternację, zaśmiał się więc pod wąsem i, aby dłużej nie trzymać zebranych w niepewności, zawołał donośnym głosem:

– Oto on! – wskazał obiema rękami na kulę. – **Przedstawiam wam Fikumika!** Mojego asystenta, a zarazem nieocenioną pomoc. Fikumiku – zwrócił się do kuli – przywitaj się ze wszystkimi.

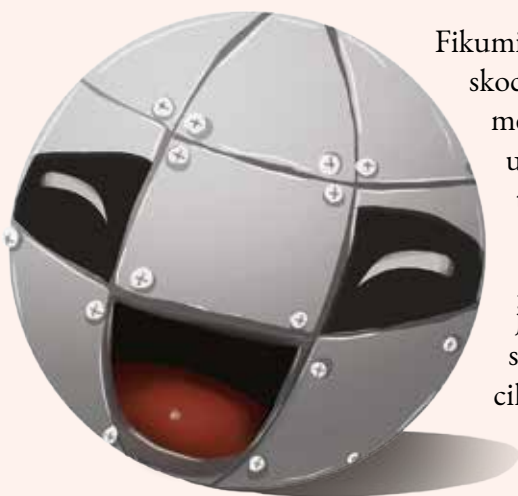
Na tę prośbę dwa kwadraty drgnęły gwałtownie i po chwili, niczym wieczka od skrzyni uniosły się do góry, odsłaniając dwoje szklanych oczu, które z pewną nieśmiałością, ale wesoło i przyjaźnie spojrzały na zebranych.

– Witajcie. Jestem Fikumik i służę wam pomocą! – powiedziało różnym głosem to metalowe coś i podskoczyło żwawo na warsztacie, co pewnie miało być odpowiednikiem ukłonu.

– Ooooo! – wyrwało się z gardła gapiów, bo pierwszy raz widzieli, aby metalowa kula miała oczy, przemawiała rozumnie, a do tego z gracją podskakiwała na drewnianym blacie, ale tak że cały warsztat nawet nie zgrzytnął ani nie drgnął!

Wszyscy zapomnieli języka w buzi. Filip znów zaśmiał się pod nosem, po czym, aby rozwiać wszelkie wątpliwości, postanowił pokazać, co Fikumik potrafi.

– **Fikumiku, zajmij się tym** – zwrócił się do robocika i podał mu grzebień z połamanymi zębami, który niedawno pozostawiła u niego do naprawy Roszpunka, po tym, jak jeden z bajkowych stworów użył go do podrapania się po swoim pokrytym łuskami grzbiecie.



Fikumik spojrział uważnie na popsuty przedmiot, podskoczył z radości, rzucił krótkie „Aha!” i... w tej samej chwili wieczka kilku następnych kwadracików uchyliły się, a z wnętrza kuli wyłoniły się trzy metalowe ramiona, każde zakończone innym narzędziem. Chwyciły grzebień i zaczęły nim obracać, jednocześnie przycinając, doklejając, wymieniając, szlifując, polerując, lakierując i na końcu susząc nałożony lakier. Wszystkie te czynności robocik wykonywał przy dźwiękach wesołej piosenki:

*„Rachu-ciachu, fiku-mik, ja naprawię wszystko w mig!
Dobry humor wróci tobie, bo, co trzeba, prędko zrobię.
Bys do bajki miał znów chęć! Bawić dzieci szybko pędź!”*

Kiedy tylko umilkł, robota była skończona. Z jego kulistego ciała wystawało już tylko jedno ramię, które trzymało grzebień Roszpunki. Zaufany służący księżniczki, którego wysłała ona do Filipa z grzebieniem do naprawy, aż pisnął z zachwytem. Trzeba ci bowiem wiedzieć, że był to ulubiony grzebień Roszpunki, a bez niego jej fryzura skazana była na pozostawanie w istic opłakanym stanie, przez co wciąganie się po rozczochranych włosach na wysoką wieżę było o wiele trudniejsze niż zwykle. Rzecz jasna po naprawie grzebień wyglądał, jakby go nikt nigdy jeszcze nie używał! **Nic dziwnego, że w warsztacie podniosły się takie brawa, jakich już dawno w Bajkowej Krainie nikt nie słyszał.** Było to uznanie zarówno dla Filipa, jak i dla jego Fikumika. Ten pierwszy z zadowoleniem podkręcał węża, a ten drugi podskakiwał zabawnie na warsztacie w rytm oklasków.

Nikt nie zliczy, ile jeszcze rzeczy naprawił tego dnia robocik Fikumik, śpiewając wielokrotnie swoją piosenkę. Za każdym razem, zanim wyśpiewał jej ostatnie słowo, naprawa dobiegała końca, a on swym metalowym ramieniem chwycił naprawiony przedmiot i z radością wręczał go właścicielowi. Filip również nieustannie pracował obok robocika, oczywiście, w swoim, ludzkim tempie. Cały czas obserwował go i poznawał jego charakter. Fikumik był posłuszny, pracowity, wytrwały, dokładny, ale trochę nazbyt zakręcony, jak to zwykle z kulami bywa. Czasem zamiłowanie do podskakiwania brało górę nad naprawczym oprogramowaniem robocika, w związku z czym Filip musiał go upominać, bo groziło to jeszcze poważniejszym popsuciem sprzętów.

Minęło kilka dni. Fikumik pod okiem Złotorękiego nabierał ogłady i konstruktor był z niego coraz bardziej dumny. Któregoś ranka Filip przywołał go do siebie i zwró-



cił się do niego poważnym tonem, tak jak się to robi, gdy się kogoś właśnie wysyła na doniosłą misję:

– Mój drogi Fikumiku, czas, abyś **ruszył w drogę**. Wymyśliłem cię, abyś przemierzył całą Sapientię, niosąc pomoc wszystkim, którzy jej potrzebują. Naprawiaj, co trzeba, aby bajkowe postacie mogły jak najlepiej odgrywać swoje role w bajkach, w których występują.

– O tak! Fikumik chce pomagać! Chce, chce, chce! – radował się robocik, raźnie podskakując.

– No już dobrze! – Filip próbował zapanować nie tylko nad rozbawieniem robocika, ale i własnym. – Posłuchaj mnie teraz uważnie i zapamiętaj moje słowa. Aby każdy wiedział, skąd pochodzisz, wygrawerowałem ci na jednym z wieczek śrubokręcik i śrubkę. To mój znak rozpoznawczy, taki sam widnieje na moim szyldzie nad wejściem do warsztatu. Każdy, kto kojarzy mnie z tym znakiem, domyśli się, że jesteś moim wynalazkiem. A tutaj... – Filip uniósł jedno z kwadratowych wieczek kulistego tułowia Fikumika – chowam **instrukcję obsługi** do ciebie. Pilnie czytaj ją każdego dnia, abyś jak najwięcej się o sobie dowiedział, poznał pory i sposoby konserwacji, a także abyś się wystrzegął zachowań, do których nie zostałeś przeznaczony. Nie zgub jej, Fikumiku, bo bez niej nikt nie będzie wiedzieć, do czego służysz, jak się z tobą obchodzić i jak cię naprawić.

Fikumik dwoma podskokami dał do zrozumienia, że będzie trzymał się jego rady, a potem wskoczył swemu twórcy na kolana. Filip przytulił robocika na pożegnanie i, otarłszy łzę, zachęcił go dziarskim tonem do rozpoczęcia naprawczej misji:

– A teraz, mój kochany, ruszaj w drogę!

Robocik nie zwlekał.



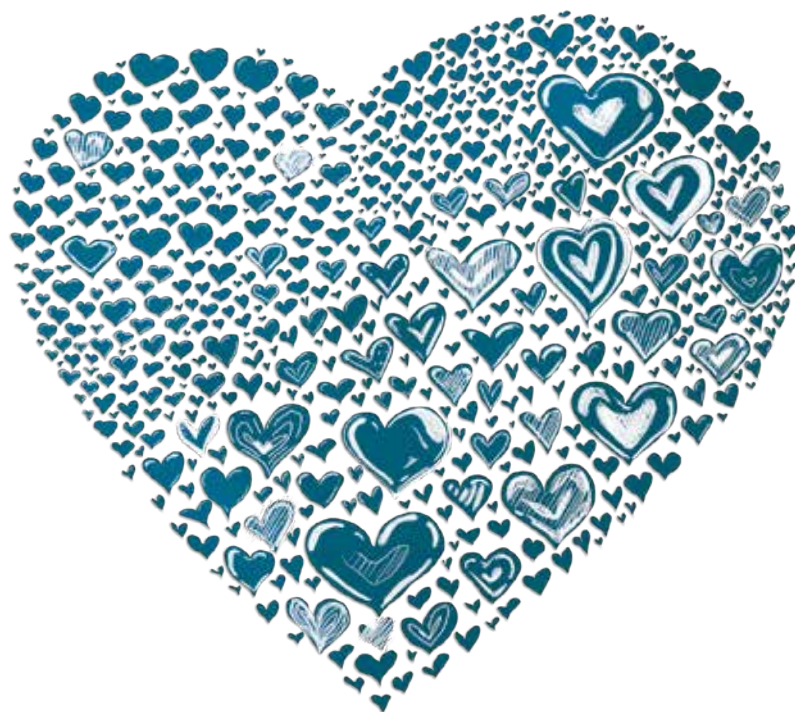
– I po raz ostatni ci przypominam: nie zapomnij o czytaniu instrukcji obsługi! – zawołał Złotoręki za Fikumikiem, który właśnie zniknął za zakrętem ulicy Sennych Marzeń...



Fikumik miał ogromny zapał do pracy i bardzo mu się śpieszyło, aby **nieść pomoc tym, którzy jej potrzebowali**. Szedł, a właściwie podskakiwał, wiążącymi się ścieżkami, utwardzonymi drogami i szerokimi traktami Bajkowej Krainy, a potem również innych krain w Sapientii, reperując w większych i mniejszych wioskach to wszystko, co tylko wymagało naprawy. Dzięki temu mieszkańcy Sapientii nie musieli już sami wędrować do Filipa Złotorękiego, aby zanieść mu do naprawy popsute rzeczy. Bardzo ułatwiało im to życie. Co prawda początkowo ci, którym Fikumik proponował swą pomoc, nie bardzo mu ufali, ale wystarczyło, że na ich oczach zreperował choćby jedną tylko rzecz, aby uznali go za mistrza w swojej dziedzinie. Polubili go serdecznie, no bo jak tu nie polubić metalowego stworka, który nie dość, że wszystko naprawi, to jeszcze rozbawi innych do łez radosnym usposobieniem, wdzięcznymi podskokami i zabawną piosenką?

*„Rachu-ciachu, fiku-mik, ja naprawię wszystko w mig!
Dobry humor wróci tobie, bo, co trzeba, prędko zrobię.
Byś do bajki miał znów chęć! Bawić dzieci szybko pędź!”*

Szczególnie dzieci uwielbiały towarzystwo robocika. Jak tylko udawało mu się uporać z naprawą ostatniego zepsutego sprzętu, całymi gromadami oblegały Fikumika, aby wciągnąć go do wspólnej zabawy, która niejednokrotnie trwała do późnych godzin wieczornych. Oczywiście, robocik nie miał nic przeciwko, bo sam miał wgrane przez swojego twórcę dziecięce, skłonne do wszelkiego rodzaju harców usposobienie. Myślę więc, że chyba każde dziecko zrozumie, jak bardzo trudno było mu w tej sytuacji znaleźć wolną chwilę na czytanie instrukcji obsługi, którą Filip schował w jednej

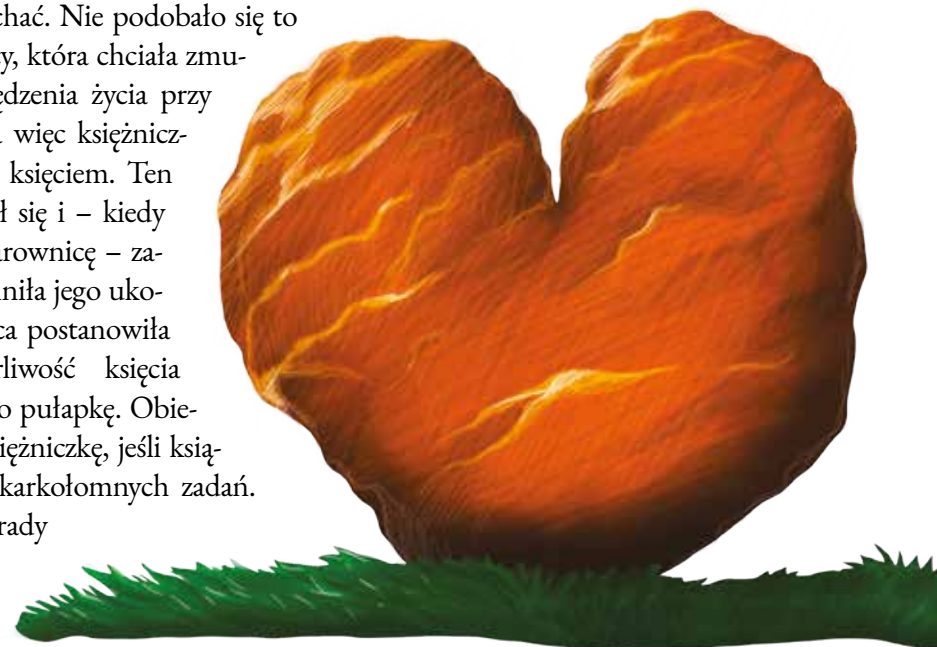


MIŁOSNE PODRÓBKI

czyli słów kilka o staniu na palcach, zapomnianym tytule bajki; o księciu, jego ukochanej, złej czarownicy, dziewięćdziesięciu dziewięciu fałszywych księżniczkach i siedmiu miłosnych podróbkach

Zanim postawisz ze mną pierwszy krok w dalszej wędrówce na szczyt góry miłości, pamiętaj, że od tej pory wędrujesz myślami, stąpając po stabilnym i wytrzymałym fundamencie twojego człowieczeństwa, z powołaniem do świętości w jednej dłoni i własną instrukcją obsługi w drugiej. A jeszcze niedawno może nie byłeś świadomy, że masz to wszystko przy sobie i możesz z tego korzystać! Widzisz, trzeba było z niemałym trudem wspiąć się po stromym zbocz góry miłości, aby dostrzec myślami te cenne skarby. No tak, z wysokości widać więcej! Teraz na twoim „JA” możesz oprzeć pozostałe, bardzo ważne elementy twojego istnienia. Jeśli kiedykolwiek chciałbyś w trakcie wspinaczki na szczyt przystanąć i rozejrzeć się wokół, pamiętaj, że stoisz na swoim fundamencie, niczym na najwyższym podium zwycięscy. **A jeśli do tego staniesz na palcach i wyciągniesz szyję, zobaczysz rozumem i wyobraźnią takie krajobrazy, jakich jeszcze nigdy dotąd nie widziałeś.** Mam nadzieję, że bohaterowie bajki o Bajdulowych ogrodach i naprawczej misji Fikumika będą ci towarzyszyć w dalszej drodze na szczyt. Przed nami wspinaczka pełna rozmyślań o miłości i nowych bajkowych opowieści!

Kiedy byłam małą dziewczynką, oglądałam w telewizji animowaną bajkę. Niestety, nie pamiętam jej tytułu ani autora. Nie pamiętam też wielu szczegółów z jej akcji... Pamiętam bardzo ogólnie, że opowiadała o pewnym księciu i księżniczce. Młodzi zakochali się w sobie i bardzo chcieli założyć królewską rodzinę i odtąd razem uczyć się wzajemnie kochać. Nie podobało się to pewnej czarownicy, która chciała zmusić księcia do spędzenia życia przy jej boku. Porwała więc księżniczkę i ukryła przed księciem. Ten jednak nie poddał się i – kiedy tylko odnalazł czarownicę – zażądał, aby ta uwolniła jego ukochaną. Czarownica postanowiła wykorzystać gorliwość księcia i zastawić na niego pułapkę. Obiecała, że uwolni księżniczkę, jeśli książę wykona kilka karkołomnych zadań. Jeśli nie da sobie rady



choćby z jednym z nich, na zawsze miał pozostać przy czarownicy i wypełniać jej wolę, niczym lalka marionetka. Książę zgodził się, bo wiedział, że to jedyny sposób na uratowanie ukochanej. Był bardzo dzielnym, sprytnym i inteligentnym młodzieńcem, tak więc – ku wściekłości czarownicy – zwycięsko przeszedł przez niezmiernie trudne zadania. Zostało mu do zaliczenia ostatnie, które polegało na tym, że musiał **rozpoznać swoją**



ukochaną wśród stu pańien, które wyglądały niemal zupełnie tak samo. Dziewięćdziesiąt dziewięć pańien było fałszywymi księżniczkami, **a tylko jedną tą prawdziwą**. Panny były tak bardzo do siebie podobne, że – korzystając tylko ze zmysłów – nie było możliwe, aby rozpoznać prawdziwą księżniczkę. Książę musiał wymyślić inny sposób, aby zdemaskować dziewięćdziesiąt dziewięć podróbek ukochanej. A ponieważ przed jej porwaniem spę-

dziali ze sobą wiele czasu, poznawali się wzajemnie, długo ze sobą rozmawiali na różne tematy, to wiedział, jakie zadać stu pannom pytanie, aby odpowiedź na nie znała tylko ta jedna, prawdziwa księżniczka. Zgodnie z umową czarownica musiała uwolnić porwaną pannę, a sama ze złości zamieniła się w czarną, burzową chmurę, którą wiatr poniosł daleko od kochającej się pary. Książę i księżniczka wkrótce pobrali się i przysięgli sobie miłość na zawsze i pomimo wszystko. Ach, jakie to romantyczne...

Myszę, że w czasie naszej dalszej drogi na szczyt, powinniśmy się wczuć w rolę owego księcia z zapomnianej bajki. **Poszukujemy przecież prawdziwej miłości** – tak jak on poszukiwał prawdziwej ukochanej – i chcemy rozpoznać ją wśród podróbek. Czarownica, to odpowiednik Złego Węża, który podsuwa nam miłosne fałszywki. Jakież on jest sprytny w swej złej naturze! Zły Wąż wcale nie zaprzecza, że miłość istnieje; albo, że miłość jest najważniejsza w życiu. Zły Wąż chce nam wmówić, oszukać nas, że miłością jest coś, co tak naprawdę wcale nią nie jest. Ot, taka niby drobna pomyłka, niedomówienie, kłamstewko, a kiedy dokonamy złego wyboru, Zły Wąż, niczym czarownica, może przysporzyć nam okropnych kłopotów. Dzielny książę znalazł sposób na rozpoznanie księżniczki wśród jej podróbek, ale pamiętaj, że stało się tak, ponieważ spędzał ze swoją ukochaną wiele czasu i wykorzystywał go, aby ją dobrze poznać. Tak więc, jeśli chcemy rozpoznać prawdziwą miłość wśród jej podróbek, to musimy pamiętać, że odniesiemy sukces, jeśli będziemy nieustannie poznawać wzór w Osobie Mistrza Miłości, Superbohatera Jezusa. Możemy się pocieszyć tym, że książę z zapomnianej bajki musiał rozpoznać swą ukochaną, której towarzyszyło dziewięćdziesiąt dziewięć fałszywych księżniczek. Nasze zadanie jest nie mniej trudne, ale zdemaskowania wymaga sześć miłosnych podróbek. Wreszcie zostanie nam tylko jedno, prawdziwe oblicze miłości.

Gotowy na zdzieranie masek?

A więc zaczynamy... od bajki, oczywiście.



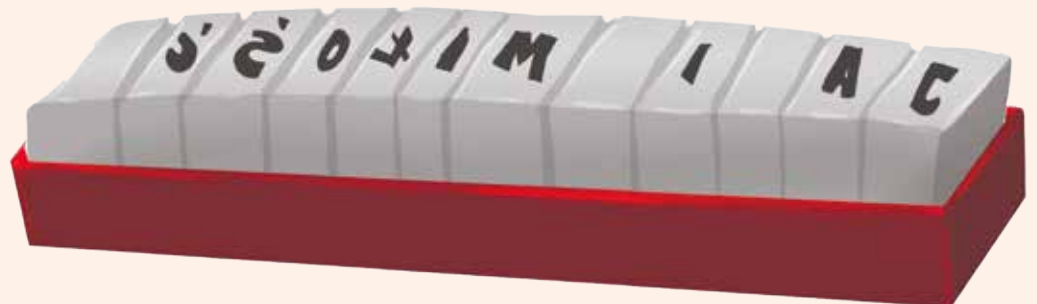
POCZTA WYCZUWAJKOWA

*czyli historia rodu rodem z sennej wyobraźni, w dwóch... a nawet trzech
bardzo poważnych sprawach; o tyciutkich tycinózkach; o uchu, przez które wszystko wyleciało,
o wyczuwajkowej kraksie, akcji ratunkowej i o poczcie, która wcale się nie wytrzepała,
bo jej nigdy nie było...*

Tę opowieść zacznę od przedstawienia ci kogoś niezwykłego. Pisząc „kogoś” – mam na myśli... pewien ród, rodem z ludzkiej wyobraźni, zamieszkujący w Sapientii krainę Starolasów. Tak się złożyło, że jeden z ziomków owego przesławego rodu (którego to ziomka, nawiasem mówiąc, miałam zaszczyt osobiście poznać) odgrywa w mojej nowej opowieści jakże ważną, główną rolę.

Jak już wspominałam w bajce o naprawczej misji Fikumika, Sapientię zamieszkują nie tylko bajkowe postacie. Ta kraina jest też domem dla różnych fantastycznych istot – będących wytworem ludzkiej wyobraźni zaprzyjaźnionej z rozumem – również takich istot, które dotąd w żadnej bajce nie występowały. O! Chociażby sam król Bajdul powstał z wyobraźni pani Wyobraźni. Ona sama wraz z Rozumem też zamieszkują Sapientię, chociaż ich udział w bajkach przybrał formę mądrych rad, morałów, przesłań i fantastycznych natchnień bajkopisarzy. **Podobnymi istotami jest ród Drukurianów.** To właśnie ich koniecznie chciałam ci przedstawić. Ciekaw jesteś, kim są i w jaki sposób powstał? Już opowiadam, chociaż ostrzegam, że jest to ród z tak ciekawą genezą i misją, że przedstawienie ich może mi zająć kilka stron tej książki. Uwaga, jeśli jesteś gotów, to zaczynam!

Dawno, bardzo dawno temu – kiedy na świecie nie wymyślono jeszcze ani komputerów, ani nowoczesnych maszyn drukujących dzieła pisarzy – teksty drukowano, układając ręcznie na matrycy pojedyncze stemple znaków pisarskich. To tak, jakbyś układał w odpowiedniej kolejności na specjalnej podstawie stempelki, ale odwrócone do góry nogami. Opisując to najprościej, stempelki w kształcie liter – ułożone w rzędach tak, aby powstały odpowiednie wyrazy, a z nich zdania – smarowano tuszem drukarskim, a potem przykładano do całości arkusz papieru. Po nim następny arkusz i następny, aż otrzymywano tyle kopii, ile było trzeba. Układanie tych pojedynczych stempli znaków pisarskich było bardzo żmudnym zajęciem, a jeśli ktoś zamówił druk grubaśnej, opasłej księgi w równie opasłej ilości jej kopii, to drukarze – czyli ci, którzy pracowali



w drukarni – mieli pełne ręce roboty, na którą z pewnością brakowało dnia, a nawet nocy, szczególnie jeśli trafił się im niecierpliwy klient. Praca w nocy niesie ze sobą trud walki z morzącym snem. Nie jeden drukarz często przegrywał tę nierówną potyczkę, zasypiając w trakcie pracy z zaciśniętymi w dłoni stempelkami liter, które nie zdążył ułożyć, gdyż nokautujący cios sennego zmęczenia powalał go na łopatki. Tuż przed tą porażką, będąc w pół jawie, w pół śnie, drukarze często wyobrażali sobie, że oto jakimś cudem nagle zjawiają się znikąd jakieś dobre istoty, które – niczym pracowite mrówki – dokończają za nich pracę. Drukarze marzyli, że kiedy już się zbudzą, okaże się, że nie mają w pracy żadnych zaległości, bo pracowite istotki wydrukowały tyle kopii, ile było w planie. Drukarze wyobrażali to sobie tak często i z takim pragnieniem, że z ich marzeń **w Sapientii powstał ród Drukurianów** – czyli fantastycznych stworzeń, których zadaniem było niesienie pomocy pogrążonym we śnie, przemęczonym drukarzom. Dlaczego Drukurianie powstałi właśnie tam? Myślę, że dla Sapientii mądre książki – a szczególnie bajki, baśnie czy opowiadania dla dzieci – są bardzo ważne. Tak więc, gdzieś indziej mógłby być lepszy dom fantastycznych istot tak gorliwie wspomagających dzieło powstawania wszelkich ksiąg, książek i książeczek?

Drukurianie byli niewielkiego wzrostu – mierzyli mniej więcej tyle, co od czubka twoich palców u ręki do łokcia. Zazwyczaj każdy drukarz, wyobrażając sobie swych tajemniczych pomocników, pomniejszał w swej fantazji do tegoż wzrostu samego siebie i innych kolegów drukarzy. Z tego też powodu Drukurianie wyglądali, jak typowi panowie drukarze w wersji mini. Ubranka mieli wygodne, szerokie, nie krępujące ruchów w odcieniach koloru szarego, brązowego i czarnego, tak aby jak najmniej widoczne były zabrudzenia narbyte w czasie pracy. Jednak... jeśli kiedykolwiek bawiłeś się stempelkami i tuszem, z pewnością wiesz, jak to jest z tego typu brudem. Chociaż dokładasz wszelkich starań, aby się nie popaprać tuszem, to i tak, ten, zawsze znajdzie jakiś sposób, aby znaleźć się na palcach, buzi, ubraniu czy stoliku, przy którym się bawisz. Podobnie mieli Drukurianie. Zarówno spodnie, rękawy koszuli, fartuch, dłonie, a nawet twarz umorusane były tuszem, przez co wyglądali niczym pojedyncze stemple znaków pisarskich, tyle że osadzone na nóżkach i uwijające się przy robocie. O tak! To była ich pierwszorzędna cecha, z której byli niezwykle dumni – **szybkość, wytrwałość i dokładność w działaniu**. Właśnie tak wyobrażali sobie ich pracę drukarze. Ich fantastyczni pomocnicy mieli być z natury ruchliwi i pracowici niczym wspomniane mrówki, i tacy właśnie byli. Nie spoczęli, póki pracy swej nie wykonali na czas. Mówiąc ściślej, **nie potrafili usiedzieć spo-**

kojnie w miejscu. Ich praca było dobrze zorganizowana. Nie było mowy o konfliktach, zastojach czy chaosie. Każdy wiedział, co ma robić. Jedna grupa Drukurianów zajmowała się podawaniem stempli tym, którzy drobnymi, niezwykle zgrabnymi i zwinnymi dłońmi sprawnie, szybko i nieprzerwanie układali je na matrycy, zgodnie z wytycznymi Drukurianina, który głośno i wyraźnie czytał każdy kopiowany wyraz z osobna. Ostatnia grupa zajmowała się sprawdzaniem, czy wyrazy zostały poprawnie ułożone i czy tworzą takie same zdania, jak te, zapisane ręcznie w oryginalnym tekście. I chociaż im również zdarzały się literowe błędy – któż ich nie robi? – to **pomoc Drukurianów była nieoceniona i niedoceniona**, bo drukarze po przebudzeniu głęboko wierzyli, że to oni sami jakimś cudem uporali się z pracą, tylko ze zmęczenia po prostu tego nie pamiętają. Kto by uwierzył w pomoc pracowitych istot rodem z krainy ukrytej gdzieś za wieloma krótkimi myślami i długimi, głębokimi rozmyślaniami? Drukurianom jednak zupełnie nie przeszkadzało to, iż ktoś inny przypisywał sobie ich pracę. Cieszyli się na nią i wręcz nie mogli się doczekać, kiedy znowu sennie wyobrażenia któregoś znużonego snem drukarza przywołają ich z Sapientii.

Tak naprawdę, bardzo męczyła ich bezczynność.

Była ona dla nich podobną udręką, jak praca dla kogoś przemęczonego. Póki drukarze nie wyrabiali się z pracą, póty ten problem był malutkim problemem dla malutkich Drukurianów. Jednak... czas biegł nieubłaganie, człowiek rozwijał swą wiedzę i konstruował coraz to wymyślniejsze wynalazki. Również w drukarniach pojawiły się takie. W dzisiejszych czasach drukarze już nie muszą ręcznie układać wyrazów i zdań z malutkich stempelków. Tekst do druku przygotowuje się na komputerach i to one – odpowiednio zaprogramowane – sterują elektronicznymi drukarkami, które drukują w krótkim czasie zamówioną liczbę kopii. Drukarze zaś głównie nadzorują pracę tych maszyn.



Jak myślisz, co to oznaczało dla naszych Drukurianów? Ano nic innego, jak beczynność. Już nie byli wzywani sennym fantazjowaniem przez drukarzy, których teraz praca była już o wiele, wiele łatwiejsza. Nawet jeśli któremuś przytrafiło się zasnąć w trakcie wykonywania swych obowiązków, to zaprogramowany komputer sam sterował pracą drukarki. Drukurianie przestali być drukarzom potrzebni, więc ci przestali o nich śnić. Gdyby tylko natura pracowitych stworków była inna... **Tymczasem zapal do pracy pozostał, a pracy nie było!** Pozbawieni zajęcia, czuli się niepotrzebni i nie wiedzieli, co mają ze sobą zrobić, tym bardziej, że ich żywiołowe usposobienie pracusiów nie ułatwiało im ułożenia sobie życia na nowo. Owszem, próbowali podjąć się różnych pomocowych zajęć w Sapientii, ale z czasem wszyscy zrezygnowali z ich pomocy, gdyż **nadgorliwość** – nad którą Drukurianie nie mogli zapanować – była dosyć kłopotliwa. No bo... kiedy mieli pomóc piekarzowi upiec sto chlebów, upieklili ich sto razy więcej! Kiedy poproszono ich o skoszenie trawy wokół zamków najznamienitszych bajkowych księżniczek i książąt, skosili zarówno trawę, jak i kwietne rabaty. A kiedy wzięli się za remont wiejskich domków na obrzeżach Sapientii, to owszem, zreperowali, co się im zleciło, ale potem zabrali się za odnawianie tego, co sami uznali za konieczne, bez konsultacji z właścicielami. Sposób, w jaki wykonali pracę nie zawsze był w guście gospodarza... a właściwie gospodyni domu. Szkód było więcej niż pożytku. Doszło do tego, że kiedy ktoś zobaczył w pobliżu Drukurianina, zamykał z trzaskiem przed nim drzwi i okiennice, nie chcąc mieć z nim nic do czynienia. Sytuacja stała się naprawdę poważna, **a kiedy sytuacje w Sapientii stają się bardzo poważne, oznacza to, że najwyższy czas udać się do Rozumu i Wyobraźni po radę.** Tak też Drukurianie uczynili.



W tym samym czasie przesławna para Sapientii – Rozum i Wyobraźnia – borykała się z innym problemem, który przyszło im rozwiązać dla dobra krainy. Otóż... do Bujnej Doliny przybyły delegacje dwóch zwaśnionych ze sobą stron, prosząc sławną parę, aby zdecydowała, po której stronie stoi racja. Spór dotyczył bardzo ważnej kwestii. Wszystko zaczęło się od zgodnego stwierdzenia, że w Sapientii brakuje możliwości sprawnego i bardzo szybkiego przekazywanie sobie ważnych wiadomości. Do tej

pory przekazywano je w tradycyjny sposób – albo przez podróżującego konno posłańca, albo wysyłając gołębie pocztowe. Czasem w ważnych kwestiach wzywano czarownice na miotłach – bo ich pojazdy były szybsze od końskich kopyt i gołębih skrzydeł – ale czas pokazał, że z tymi typami raczej lepiej nie wchodzić w układy, bo i tak cię oszukają, żądając zbyt dużej zapłaty za usługę. Zaczęto więc dostrzegać konieczność wymyślenia innego sposobu na przekazywanie informacji, który nadążałby za potrzebami mieszkańców Sapientii i nowoczesnymi technologiami. Część mieszkańców wpadła na pomysł, aby Filip Złotoręki wymyślił coś na wzór smartfonów, które tak świetnie się sprawdzają w świecie dzieci i bajkopisarzy. Filip miał podobne zaprojektować, skonstruować i w ten sposób każdy mieszkaniec Sapientii mógłby cieszyć się swoim własnym telefonem, który zapewni kontakt wszystkich ze wszystkimi szybko i o każdej porze.

Na ten pomysł nie zgadzała się druga część mieszkańców, którym w głowie nie mogło się

pomieścić, jak starodawne, bajkowe postacie, posiadające unikalną tradycję, kulturę i obyczaje, będą wyglądać z nowoczesnymi telefonami komórkowymi przy boku? Cóż, trochę potrafię zrozumieć ich zniesmaczenie. Wyobraź sobie rycerza, króla, krasnalę, goblina, elfa, skrzata, księżniczkę w wytwornej sukni czy czarownicę na miotle korzystających z telefonu komórkowego... Niby nic w tym nieodpowiedniego, ale... z drugiej strony... jakoś tak... jedno do drugiego nie pasuje. Poza tym, w Sapientii doszły słuchy, że w świecie dzieci i bajkopisarzy, ludzie – zamiast czytać książki – zbyt wiele czasu spędzają przed ekranem smartfonów, a to nie wpływa dobrze na mądre gospodarowanie wolnym czasem, a znowu to nie wpływa dobrze na właściwy rozwój ich wyobraźni i rozumu. Przeciwnicy wprowadzenia smartfonów do Sapientii chcieli wymyśleć jakiś inny sposób na szybkie przekazywanie wiadomości; sposób, który zamiast szokować gusta i odciągać od bajek, wkomponowałby się w tutejsze obyczaje, tradycję i kulturę zarówno Bajkowej Krainy jak i całej Sapientii. Problem był tylko w tym, że nie mieli na nic konkretnego pomysłu, z czego zadowoleni byli zwolenni-





ROZPOZNANIE DRUGIE

MIŁOŚĆ TO PRZYTULASY I BUZIAKI... – prawda czy fałsz?

No i wracamy do naszego śledztwa... Grono „postaci” podających się za miłość zmniejszyła się do sześciu. Wśród nich jest pięć fałszywek i jedna prawdziwa miłość.

Do naszych obserwacji przywołujemy drugą „postać”, bardzo milusińską i o bardzo przyjemnym usposobieniu, która przedstawia siebie podwójnym imieniem – **Przytulas Buziak** – i twierdzi, że to właśnie ona jest najprawdziwszą miłością.

Czy to prawda, że Przytulas Buziak jest miłością, którą pragniemy poznać?

Hmm... Przyjrzyjmy się bliżej...

Przytulas Buziak reprezentuje grono wszystkich przytulasów i buziaków, czyli inaczej mówiąc reprezentuje: namacalną, dotykalną, głaskalną, mizialną, buziakalną, prawdziwą bliskość ciała drugiego człowieka.

Zanim zaczniemy dalsze rozmyślenia, zapraszam cię do małego doświadczenia. Proszę cię, abyś wyciągnął przed siebie swoje dłonie i wyprostowane złożył ze sobą wewnętrznymi stronami do siebie. Natychmiast jedna dłoń zaczyna odczuwać każde drgnienie drugiej, jej bliskość, ciepło, siłę naporu. Teraz w ten sam sposób złącz swoją dłoń z dłonią bliskiej ci osoby. Załóżmy, że to będzie dłoń twojej mamy. I znów możesz wyczuć każde drgnienie jej palców, każdy ruch, stopień gładkości skóry, ciepło, delikatność. Być może twoją NCC możesz wyczuć łączącą was więź. Zapytaj mamy, co ona czuje swoim ciałem i swoją NCC, kiedy wasze dłonie są złączone. Z pewnością będziecie rozmawiać o przyjemnych doznaniach. Teraz, nie ostrzegając mamy, naciśnij mocniej któryś z twoich palców na palec mamy. Rzecz jasna, ona to wyraźnie poczuła, a ponieważ wasze dłonie były baaardzo blisko siebie, a ty działałeś niespodziewanie, nie miała zbyt dużych szans, aby natychmiast przeciwstawić się twojemu naciskowi. Poproś mamę, aby teraz to ona w niespodziewanym dla ciebie momencie



nacisnęła na twój palec. Kiedy dłonie są tak blisko siebie, trudniej jest odpowiednio szybko zareagować na niespodziewane, niedelikatne ruchy.

Jakie wnioski możemy wyciągnąć z tego doświadczenia?

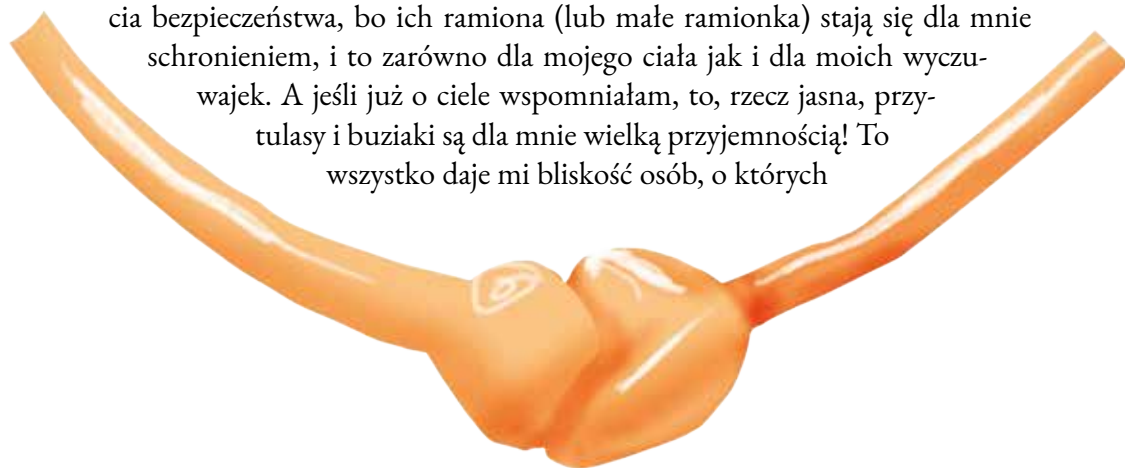
Bliskość może być bardzo przyjemnym, pozytywnym doznaniem, ale trzeba pamiętać też o tym, że kiedy jesteś z kimś bardzo, bardzo blisko, to ktoś może mieć ułatwione zadanie, aby niespodziewanie cię skrzywdzić. Po co o tym wspominam? Abyś bliżej zapoznał się z pewnym jegomościem, bez którego wszystkie przytulasy tracą miłusiński i przyjemny wygląd.

Co to za jegomość?

Chciałabym, abyś sam do tego doszedł odpowiadając sobie na ten mały zestaw pytań:

Zastanów się, proszę, do kogo najbardziej lubisz się przytulać? Komu najchętniej pozwalasz na przytulenie ciebie? Jak czujesz się w ramionach tych osób? W jakich okolicznościach najchętniej się przytulasz?

Jeśli już sobie odpowiedziałeś, to pozwól, że teraz ja podzielę się z tobą moimi przemyśleniami... Ja najchętniej przytulam się do mojego męża i do moich dzieci, szczególnie tych młodszych, bo starsze – mam na myśli nastolatków – nie mają ochoty na przytulasy tak często jak ja. Również te same osoby najczęściej zwracają się do mnie gestem lub słowem o przytulenie ich. Kiedy jestem przytulana przez moich bliskich, odczuwam wiele wyczuwajek, ale przede wszystkim doświadczam poczucia bezpieczeństwa, bo ich ramiona (lub małe ramionka) stają się dla mnie schronieniem, i to zarówno dla mojego ciała jak i dla moich wyczuwajek. A jeśli już o ciele wspomniałam, to, rzecz jasna, przytulasy i buziaki są dla mnie wielką przyjemnością! To wszystko daje mi bliskość osób, o których



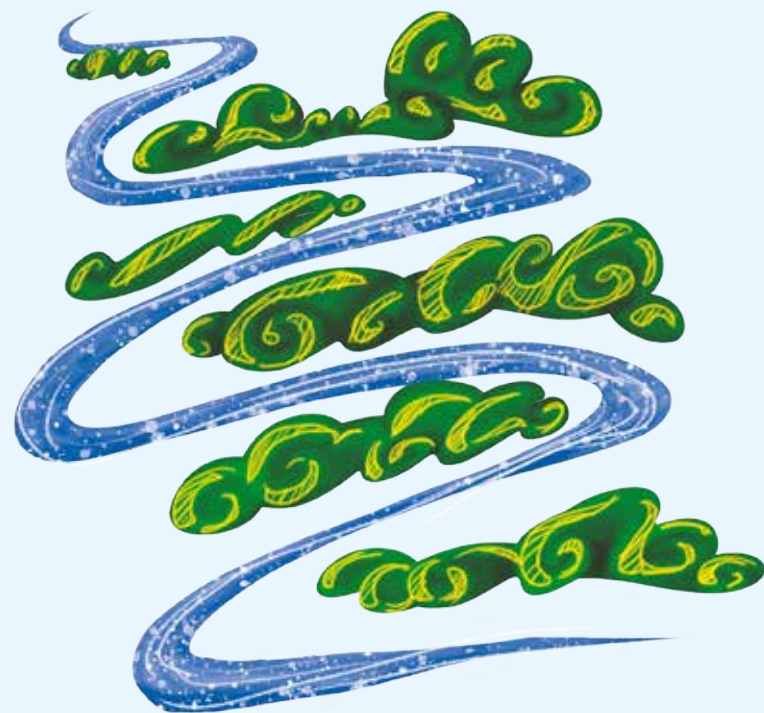
wiem, że bardzo mnie kochają. **Ich miłość na zawsze i mimo wszystko jest gwarancją poczucia bezpieczeństwa**, jakie znajduję w ich ramionach. Najczęściej przytulam się, kiedy jest mi smutno, kiedy źle się czuję, kiedy potrzebuję wsparcia, pocieszenia, kiedy jestem stęskniona, kiedy się boję, lub... kiedy bardzo się z czegoś uradowałam, lub... kiedy chcę towarzyszyć komuś w jego radości, lub... chcę kogoś pocieszyć, wesprzeć, ukoić płacz, strach, pożegnać się, lub... przytulasem przekazać, że bardzo kocham...

Czy twoje odpowiedzi były podobne? Mam nadzieję, że się ze mną zgodzisz, że poczucie bezpieczeństwa wynikające z miłości jest bardzo ważne, aby bliskość z drugim człowiekiem była przyjemna i miłusińska. To właśnie ten jegomość, o którym wcześniej wspominałam. POCZUCIE BEZPIECZEŃSTWA. Przytulasy i buziaki są miłusińskie i przyjemne, kiedy ty i osoba, którą przytulasz, czujecie się przy sobie bezpiecznie, bo sobie wzajemnie ufacie, że nie wyrządzą sobie samym i sobie nawzajem żadnej krzywdy.



Przytulasy są bardzo ważne w życiu każdego człowieka, szczególnie, kiedy mały berbec jest bardzo mały. Małeńkie dzieci mogą się prawidłowo rozwijać tylko wtedy, jeśli są przytulane, kołysane, kiedy czują bliskość kochających rodziców. To dla nich znak, że są bezpieczne i kochane. Kiedy byłeś bardzo mały pod sercem mamy, byłeś przytulany przez jej ciało cały, caluteńki czas. Po twoim urodzeniu rodzice cię tulili, kołysali, obsypywali czułymi buziakami. Przytulasy mają wielką, kojącą moc! Nic dziwnego, że tata tej dziewczynki z opowieści Bajduła o przytulasach Misia Przytulisia, wymyślił dla swojej córeczki na dobranoc historię o misiach, które swym przytulaniem osuszały łzy i przyspieszały odejście bolesnych wyczuwajek.

A więc może... przytulasy są miłością, której poszukujemy? Wydaje się, że niosą ze sobą tyle dobrego! Spróbujmy je dopasować do tego, co wiemy o miłości od jej Mistrza. A wiemy, że:



BAJKA O AKCJI RATUNKOWEJ PIĘKNEJ MĄDRORZEKI

*czyli opowieść o zakazie odwiedzin aż do odwołania, o niegrzecznym rycerzu,
o Niebiańskiej Górze i jej niedostępnym szczycie; o tajnych agentach i o J-A-D-M-I-K-J-W;
o otworkach wentylacyjnych i drobnutkich fragmentach złych marzeń, które nie chciały się
odcedzić z Mądrorzeki nawet najgęstszym sitem...*

Wiesz... kiedy tylko odwiedzam krainę rozmyślań – a dzieje się tak, odkąd pamiętam – Sapientia zawsze zaskakuje mnie i zadziwia czymś nowym. Czymś, co sprawia, że nie potrafisz się nią znudzić. Tam ciągle przygoda goni przygodę, a ta następną i kolejną! Kiedyś myślałam, że krainę mądrości można poznać jak własną kieszeń, jeśli się tylko ją dokładnie przeszuka dłonią, jakbyś chciał odnaleźć zawieruszoną perelkę. Tymczasem teraz już wiem, że to niemożliwe... Kieszeń wydaje się nie mieć dna, a kiedy tylko odnajdziesz jedną perelkę, zaraz pojawia się następna i jeszcze jedna. **I tak bez końca.** Kraina mądrości zawsze będzie pozytywnie zaskakiwać; w niej zawsze gości nowa przygoda, która zachwyca, która bawi i uczy mądrości. Jeśli wciąż jesteś głodny przygód, to zapraszam cię na kolejną opowieść prosto z bajkowej Sapientii.



I tak pewnego dnia, kiedy chciałam znów otworzyć drzwi do mojej krainy rozmyślań i podumać nad brzegiem Mądrorzeki, okazało się, że mam... OFICJALNY ZAKAZ ODWIEDZIN, AŻ DO ODWOŁANIA! Właśnie to było napisane na opuszczonym szlabanie, który blokował wejście w głąb Sapientii. **Mało tego!** Wejścia pilnował jakiś rycerz w pełnym uzbrojeniu i chociaż nie mogłam dojrzeć jego twarzy osłoniętej przyłbicą, mogłam wyczytać z jego postawy ciała, że nie zamierza być pobłażliwy dla kogokolwiek, kto choćby nos będzie chciał wychylić za granicę wytyczoną przez szlaban.

– Co się dzieje? – zapytałam z przejęciem. – Dlaczego mam zakaz odwiedzin Sapientii? Cóż takiego zrobiłam, że odmawia się mi tej przyjemności?

– **Szanowna pani jest bajkopisarką?** – zapytał rycerz dla pewności.

– Tak! I zawsze mogłam bez żadnych ograniczeń...

– **Oficjalny zakaz odwiedzin obowiązuje wszystkich bajkopisarzy, bez wyjątku!** – huknęło nagle z wnętrza metalowej zbroi.

– A to dlaczego? – dopytałam podniesionym głosem, nieco urażona, że przerwano mi w pół zdania.

– Na Mądrorzecze jest poważna awaria. Zakaz odwiedzin będzie obowiązywał, póki awaria na rzece nie zostanie usunięta. To wszystko w tej sprawie! – dodał na koniec rycerz i trzasnął mi drzwiami przed nosem...

– **Awaria rzeki...?** – powtórzyłam z niedowierzaniem i... Cóż miałam zrobić? Odwróciłam się na pięcie i zdezorientowana opadłam na fotel z bagażem pytań bez odpowiedzi. Jednego byłam pewna – ten rycerz, jeśli nie zmieni manier, z pewnością nigdy nie zasłuży na zaufanie i względu żadnej białogłowy!

Od tego czasu codziennie sprawdzałam, czy sytuacja z zakazem się nie zmieniła. Ale każdego kolejnego dnia za drzwiami prowadzącymi do Sapientii witało mnie to samo zimne spojrzenie oczu osłoniętych metalową przyłbicą. Aż wreszcie... któregoś dnia po szlabanie i niemiłym rycerzu **nie było śladu!** Biegiem przemierzałam drogi i ścieżki krainy mądrości, aby w końcu dowiedzieć się, o co chodziło z tym zakazem odwiedzin dla bajkopisarzy i awarią Mądrorzeki. Niebawem wszystko się wyjaśniło, a nowe informacje trochę złagodziły moją negatywną opinię o manierach rycerza pilnującego wejścia do Sapientii. Ale tylko trochę...



Abyś i ty zrozumiał powagę wydarzeń, które zaraz ci opowiem, zacznę od przedstawienia pewnej góry, będącej najwyższą górą w całej Sapientii. Jest ona tak wysooka, że szczytem sięga gęstych chmur. Chmury osłaniają szczyt bez przerwy, tak że nie sposób go dojrzeć ani z podnóża góry, ani z dalszej odległości. Zupełnie jakby na sam czubek lodowej piramidy ktoś nałożył sporą porcję bitej śmietany. Mało tego! Podejście pod sam szczyt jest tak niedostępne, że póki co, **nikomu w Sapientii nie udało się go zdobyć!**

Nigdy! Śmiałkowie zdołali jedynie dojść do pewnego miejsca na stromym zboczu góry – gdzie powstało

schronisko dla wędrowców – a stamtąd jakiegokolwiek próby dalszej wspinaczki okazywały się daremne. Nazwano ją **Niebiańską Górą, a jej niezdobyty szczyt Niebiańską Tajemnicą.**

Właśnie tam, gdzieś na Niebiańskiej Tajemnicy ma swój początek niezwykła Mądrorzeka. Przynajmniej wszystko na to wskazuje, bo wypływa błyszczącym źródłem wprost spod białej osłony chmur osłaniających szczyt i, spływając dalej po skale, przeobraża się w wartki potok. Już od dawna wszystkich nurtowało pytanie, dlaczego woda Mądrorzeki tak niezwykle błyszczy, i to nawet wtedy, kiedy słońce chowa się za chmurami. Zupełnie jakby ktoś dosypał do niej brokat w najróżniejszych kolorach! Oczywiście sprawą badania wody zajął się swego czasu Rozum wraz z Filipem Złotorękim. Wynaleźli nawet specjalne, supernowoczesne urządzenie do badania składu wody Mądrorzeki. **Wkrótce okazało się, że skład wody jest niezwykle, nietypowy i konieczne jest przeprowadzenie dokładniejszych badań.** Wtedy powstał pomysł, by wybudować w miejscu schroniska tajne laboratorium badawcze, w którym Rozum z Filipem Złotorękim dniami i nocami starali się: najpierw oddzielić

od wody, potem rozpoznać, a na samym końcu nazwać tajny składnik Mądrorzeki, który powoduje jej niezwykle błyszczenie. Niestety ich starania okazywały się bezowocne... Wyniki badań były niezrozumiałe dla Rozumu nawet wtedy, kiedy konsultował je z panią Wyobraźnią. Wreszcie, pewnego dnia z Rozumem i Filipem skontaktowali się tajni, **niebiańscy agenci**, którzy – jak się potem okazało – zamieszkiwali Niebiańską Tajemnicę. Agenci od dawna obserwowali ze szczytu poczynania Rozumu i Filipa i nabrali do nich na tyle zaufania, iż postanowili zdradzić im tajemnicę Mądrorzeki i... zaproponować współpracę. Tajnym składnikiem Mądrorzeki okazały się być... **piękne dziecięce marzenia**. Szczyt Niebiańskiej Góry sięga tak daleko, tak wysoko, że dotyka krainy, w której unoszą się dziecięce marzenia. Przysiadają one często na szczycie góry i przeglądają się w wodach źródelka Mądrorzeki wypływającego tam z wnętrza skały. Ich odbicia są tak piękne, że za ich przyczyną woda zaczyna błyszczeć! Mało tego, Mądrorzeka zapamiętuje niezwykle oblicza dziecięcych marzeń i niesie je ze sobą dalej i dalej, po całej Sapientii, aż po jej krańce. Przy okazji opisu mojego spotkania z Drukurianinem Kropkiem nadmieniłam ci, że nad brzegami Mądrorzeki dumają bajkopisarze. Wpatrują się w jej błyszczący nurt i szukają natchnienia do swoich nowych bajek. To bardzo ważne, aby bajkopisarze wpatrywali się w piękne dziecięce marzenia, bo wtedy ich natchnienia będą równie piękne i przysłużą się do powstania takich bajek, które bawią, uczą i wspierają dzieci w tym, by w mądry sposób spełniały swoje piękne, mądre marzenia.

Wróćmy teraz do tajnych, niebiańskich agentów i ich propozycji współpracy. Niestety, okazało się, że ostatnimi czasy coraz częściej w krainie dziecięcych marzeń pojawiają się złe, niemądre marzenia... Nie wiadomo dlaczego, dzieci zbyt często marzą o czymś, co nie jest ani dobre, ani piękne. Z tego względu do wód Mądrorzeki dostają się coraz częściej odbicia brzydkich, złych i niemądrych marzeń, co powoduje, że wody stają się coraz bardziej zanieczyszczone, a to bardzo źle wpływa na jakość natchnień bajkopisarzy. Zbyt często powstają bajeczki, które oddalają dzieci od prawdziwej miłości, a to nie rokuje dobrze na przyszłość zarówno dzieci, jak i Bajkowej Krainy. Tajni agenci postanowili, że konieczna jest budowa **oczyszczalni wód Mądrorzeki ze złych dziecięcych marzeń**. To była ich misja, do której zaprosili Rozum i Filipa. Opiszę ci teraz po krótce, jak ją zrealizowali...



Oczyszczalnia wód powstała w miejscu tajnego laboratorium, tuż przed niezdołym podejściem pod niezdoły szczyt. Nazwano ją **JEDNOSTKĄ ANALIZY DZIECIĘCYCH MARZEŃ I KONTROLI JAKOŚCI WÓD**. Ponieważ wypowiedzenie tak długiej i skomplikowanej nazwy było kłopotliwe, utworzono jej skrót: J-A-D-M-I-K-J-W. A ponieważ skrót również był... jakiś taki... nieforemny dla języka, postanowiono skrócić skrót do słowa **JEDNOSTKA**. I tak już zostało. Rozum, Filip Złotoręki i Wyobraźnia, pod okiem tajnych agentów, pracowali nad konstrukcją urządzeń potrzebnych do wypełniania misji. Wkrótce Jednostka została wyposażona w szereg bardzo skomplikowanych urządzeń i mechanizmów. Do ich sterowania służyło wiele, a nawet mnóstwo: przycisków, przełączników, wskaźników, lampek kontrolnych, lewarków i innych nowoczesnych tentegesów. Wszystko było tak skomplikowane, że pulpity sterownicze najnowocześniejszej rakiety kosmicznej w porównaniu z pulpitem sterowniczym Jednostki to zabawka dla małych dzieci. Najważniejszym urządzeniem w Jednostce było mądrosito, które służyło do rozpoznania wśród wszystkich marzeń tych złych, oddzielenia ich od wód Mądrorzeki i odesłanie do tajnych, niebiańskich agentów. Prawidłowe funkcjonowanie mądrocita było tak ważne, że Rozum wraz z Filipem postanowili ukryć jego mechanizm pod szczelną osłoną z grubej warstwy superwytrzymałego metalu. W osłonie nie było żadnych drzwiczek; żadnego innego wejścia, przez które można było dotrzeć do wnętrza urządzenia. Jedyne w pewnym miejscu konieczne było nawiercenie trzech dziurek, które służyły do wentylacji mądrocita. **Zapewne ciekawy jesteś, co tajni, niebiańscy agenci robili ze złymi dziecięcymi marzeniami, które dostarczano im z Jednostki?** Otóż, organizowali oni akcję ratunkową





OPOWIEŚĆ O PIĘCIU PAMIĄTKACH Z PIĘCIU NIEZWYKŁYCH KRAIN

czyli historia o jednym ślubie, jednym weselu i dwóch młodych parach; o sukniach ślubnych uszytych z najwspanialszych wspomnień; o tajnych agentach i ich statkachmuroniosach; o prezencie ślubnym Miłości; o wyprawie w nieznaną; o włosach dłuższych od tych na głowie Roszpunki; o pewnej srebrnej obręczy; o skrzyni w warsztacie kowala i o bustawce, na której wszyscy chcą się naraz bustać...

Od czasu uwolnienia Rozumu i Wyobraźni do chwili rozpoczęcia uroczystości ich zaślubin pozostało zaledwie kilka dni. Ktoś może powiedzieć, że te kilka dni to zbyt mało czasu, aby wprowadzać znaczące zmiany w planach przebiegu tak znamienitej uroczystości, ale... ponieważ mamy do czynienia z TYM Rozumem i TĄ Wyobraźnią, to w tym przypadku wszystko może się zdarzyć i to tuż przed samym ślubem. Z tymi osobistościami w roli głównej nie ma nudów... **Poza tym, na dobre i mądre zmiany nigdy nie jest za późno...**

Zacznijmy od niespodziewanych zmian wprowadzonych przez Rozum... Z racji tego, iż bardzo pragnął, aby jak najwięcej mieszkańców Sapientii usłyszało przysięgę miłości, jaką będzie składał Wyobraźni, wydłużył nieco listę gości. Następnego dnia znowu dopisał do niej kilku. Kolejnego ranka, siedząc w swoim ulubionym fotelu, ponownie uczynił to samo, aż wreszcie... tak się rozochocił w spraszaniu naocznych świadków swoich wiekopomnych słów, że postanowił ogłosić wszem i wobec, iż WSZYSCY mieszkańcy zostają zaproszeni na jego ślub i wesele! Kto tylko ma ochotę i czas, będzie mógł przybyć na tę uroczystość. Dopiero po tej odważnej decyzji poczuł spokój ducha i nabył pewności, że uczynił, jak należy. W końcu podejmuje najważniejsze zobowiązanie w swoim życiu i bardzo pragnął, **aby wszyscy mogli być świadkami tej arcyważnej dla niego chwili.**

Tymczasem Wyobraźnia znów zaczęła bujać w obłokach przebiegając wśród swoich sukien. Ale tym razem, **z rozumem przy boku.** Z niedosytem wpatrywała się w swą nową suknię ślubną, która od dawna wisiała w jej garderobie. Wpatrywała się w nią... i wciąż coś jej w tym widoku „nie leżało”. Do tego coraz bardziej zaczęła wątpić w to, że jej ukochany chciałby ją widzieć tego uroczystego dnia właśnie w tak wyjątkowo wymyślnym i fantazyjnym fasonie. Podążając za tymi wątpliwościami zaczęła się zastanawiać, w jaką suknię sam Rozum chciałby ją ubrać na dzień ich ślubu. Niestety, nie znajdowała pewnej odpowiedzi. Wreszcie postanowiła, że zamiast szukać po omacku, dyskretnie podpyta narzeczonego o jego wymarzoną kreację dla niej samej.

– Rozumku, którą chwilę spędzoną razem ze mną uznajesz za najpiękniejszą? – zapytała tego samego dnia w trakcie ich wspólnego popołudniowego spaceru.

Rozum zamyślił się chwilę, a potem z uśmiechem na ustach, wpatrując się gdzieś w dal kwiecistej łąki oznajmił:

– Tę, kiedy swego czasu rozmawiałaś z motylami nad stawem, zanim wyruszyły do Bajdulowych ogrodów z pomocą w zapylaniu kwiatów. Trzymałem ci wtedy słownik języka motylego, abys poprawnie i zrozumiale układała zdania w ich języku. **Byłaś wtedy w takiej pięknej sukni... najpiękniejszej ze wszystkich...** Jasnej, zwiewnej, delikatnej jak ty sama... Miała przy rękawkach takie kolorowe, cieniutkie wstążeczki, które fantazyjnie rozwiewał wiatr... a przy dekolcie te same wstążeczki były zaplecione tak... tak jakoś... sam nie wiem, ale całość podkreślała nie tylko twoją urodę, ale i to, jaka jesteś, moja najdroższa...

Tyle Wyobraźni wystarczyło, aby podjąć odpowiedni wybór na dzień ślubu. Jeśli mężczyzna pamięta, w którą suknię danego dnia była wystrojona jego wybranka, a do tego pamięta kilka szczegółów tej kreacji, to pewny znak, że wywarła ona na nim oszałamiające wrażenie. **Suknia i wybranka jednocześnie, rzecz jasna.**

Ale ostateczny, nowy wybór sukni ślubnej Wyobraźni to nie jedyna nowość, jaką ta wprowadziła do planów uroczystości. Otóż tak się stało, że Wyobraźnia dowiedziała się o niezwyklej historii księcia poszukującego swej ukochanej porwanej przez wredną czarownicę. Dowiedziała się też o zadaniach, jakim podołał, aby wyrwać ją z za-



borczych łąp wiedźmy. Postawa księcia zrobiła na niej ogromne wrażenie. Kiedy okazało się, że księżę i jego księżniczka również chcą jak najszybciej wziąć ślub, wpadła na pomysł, aby zaproponować im wspólną uroczystość, **a oni się zgodzili!** I tak dwa dni przed ślubem zmieniła się nie tylko lista gości, kreacja panny młodej, ale i liczba par pragnących złożyć sobie przysięgę miłości na zawsze i mimo wszystko.

Na szczęście jedno nie uległo żadnej zmianie: obydwie narzeczone pary nie mogły się doczekać odwiedzin Miłości i chwili własnego ślubu, który zgodnie z ustaleniami miał się odbyć w Bajju-bajdu-bajlandii, a dokładniej w ogrodzie króla Bajdula, a jeszcze dokładniej mówiąc – przy rozłożystym krzewie róży sercowatej.



Miś Przytuliś niemal do ostatniej chwili dbał, aby jego ukochana róża sercowata była w jak najlepszej formie na czas ślubu. Oczywiście codziennie, rano i wieczorem czytał jej swój poemat wspierający roślinkę do ciągłego rozwoju. No i jego podopieczna tak się rozwinęła, że jeszcze nigdy dotąd nie miała na łodygach tylu pięknych kwiatów w różnych fazach rozwoju: tych w pełni rozkwitłych, tych z delikatnie rozłożonymi płatkami i tych zwiniętych w mniejsze i większe pąki – niczym malutkie bobaski skulone w łódeczkach, okryte przez młode listki i kołysane przez opiekuńcze łodyżki. Nie trzeba było innych dodatkowych ozdób w miejscu, w którym dwie narzeczone pary będą składały sobie przysięgę miłości.

Wreszcie nastał dzień ślubu, a dokładniej chwila rozpoczęcia uroczystości. W ogrodach Bajdula zebrali się niemal wszyscy mieszkańcy Sapientii – ci, którzy chcieli i mogli opuścić swoje obowiązki i domostwa, aby towarzyszyć młodym parom w pierwszych chwilach ich wspólnej drogi wzrastania w miłości. Nie zabrakło, rzecz jasna, samego gospodarza – króla Bajdula. Tuż przy róży sercowatej czuwał w gotowości niesienia wszelkiej pomocy sam Miś Przytuliś wraz z dziesiątką brudojadów ogrodowych na czele z Pucusiem Glistusiem. Byli też tam wszyscy pomocnicy króla, a wśród nich nasi starzy znajomi: Skrzat Skrzetyśław, smok

Gburek, księżniczka Żabka i Gromek razem ze swą żoną Malusią i gromadką olbrzymiątek. Przybył też Filip Złotoręki z robocikiem Fikumikiem, Jasiem, Małgosią i ich dziadkiem. Fikumik nie mógł się nacieszyć spotkaniem z krasnalętami (ci też tłumnie przybyli na uroczystość), z którymi nie widział się od czasu jego feralnego zjazdu ze wzniesienia z torem przeszkód do pokonania. **Jakże krasnale maluchy cieszyły się z obecności robocika i to w tak dobrej formie!** Na uroczystość przybyły też wszystkie jeżokulki naszej Jeżokulki – tej, co tu zapuściła korzenie przy jaskini swego przyjaciela Gromka i jego Malusi. Przybyli też wszyscy Drukurianie, z Kropkiem na pierwszym planie, i ich rydwany zaprzęgnięte w rozanielone wyczuwajki. Poza tym nie zabrakło liczego grona bajkopisarzy (a pośród nich mnie!), jak i wszystkich dostojnych, mniej i bardziej znanych postaci bajkowych – wszystkie pięknie wystrojone, z sercami przepelnionymi najlepszymi życzeniami dla młodych par i radością, że oto mogą tu być w tak wspaniałej chwili.

Wreszcie w najwyższej wieży strażniczej zamku Bajdula wartownik zadał pełną parą w róg. Ogłosił przybycie narzeczonych. W tej samej chwili z bezzaprzęgowego Hipermaksu wysiedli: Rozum, Wyobraźnia, księżę i jego ukochana. **Rozum i księżę nie mogli oczu oderwać od swych wybranek.** Oczywiście suknia Wyobraźni przywołująca piękne wspomnienia znad stawu okazała się idealnym wyborem. Rozum już dawno w swych marzeniach wystroił Wyobraźnię na okazję ślubu właśnie w tę suknię, żadną inną! Wyobraźnia wcale nie musiała ukrywać w rękawach czy butach motyli. Wystarczyło, że Rozum spojrział na nią, odzianą w suknię z jego marzeń, a motyle znad pamiętnego stawu same przylatywały, trzepocząc barwnymi skrzydłami nad głową Wyobraźni. Chociaż trzeba przyznać, że dostrzegał je tylko Rozum.



Za namową wyobraźni księżniczka również zdecydowała się na ulubioną suknię księcia. Efekt był równie oszałamiający. To tak, jakby obie panny ubrały się w najwspanialsze wspomnienia o nich, jakie pielęgnowali w swych myślach ich przyszli mężowie.

Narzeczeni, trzymając się za ręce, przeszli uroczystie ogrodowymi alejkami i stanęli na tle rozłożystego krzewu róży sercowatej. Rozbrzmiało wiele ochów i achów i popłynęło wiele łez wzruszenia, szczególnie po pluszowym pyszczku Misia Przytulisia. Co chwilę wciskał przycisk na swoim brzuszku, przez co jego słynne: **„Kocham cię!”** wybrzmiewało nader często. Aż król Bajdul zdecydował się dyskretnie i delikatnie dać mu do zrozumienia, aby na czas ślubu powstrzymał się przed włączaniem rozprasającego dźwięku pluszowego brzuszka. Wszyscy trwali w oczekiwaniu na rozpoczęcie najważniejszego punktu dnia, ale... brakowało jeszcze jednego gościa – **Miłości.**

Nikt nie wiedział, kiedy Miłość nadejdzie i jak może wyglądać. Czy to będzie pan w eleganckim garniturze? Czy piękna pani ubrana w olśniewającą suknię? A może Miłość to urocze, niewinne dziecko, albo jakiś dobry stwór o fantastycznym wyglądzie? Goście, gospodarz zamku i narzeczeni rozglądali się niepewnie po sobie, wypatrując kogoś, kogo tak naprawdę nigdy nie widzieli na własne oczy.

Nagle wokół jakby jaśniej się zrobiło, jakby rozbłysło dodatkowe słońce, chociaż to znane od lat pięknie jaśniało na błękitnym niebie. **Blask rozpromienił się nie tylko wokół zebranych, ale przede wszystkim wewnątrz ich serc.** Bo oto, w oczekiwaniu na rozpoczęcie uroczystości każdy zdecydował się zatroszczyć o drugiego, aby wspólnie jak najlepiej przeżyć nadchodzące chwile. A to jeden pan przegonił głodnego komara znad głowy pani, która stała tuż obok; a to pewien krasnal postarał się o krzeselko dla jednej starszej

babci krasnalowej, aby obolałe nogi mogły wypoczywać w czasie uroczystości; a to ci, którzy stali w cieniu drzew, oddali parasole tym, którym słończko przygrzewało w głowy; to znowu ci wyżsi z uśmiechem przepuścili do przodu tych wszystkich, którym bajkowa natura poskapiła wzrostu. Sapientia poprzez te wszystkie decyzje stała się lepsza niż była jeszcze przed chwilą! Rozwinęła się w miłości, niczym krzew róży sercowatej!

Nagle, niemal w tej samej chwili, niespodziewanie dał się słyszeć jakiś **gwizd, świst; jakieś bruum, wruuum...** Z wysokiego błękitu nieba śmigwały w dół wprost do ogrodu Bajdula jakieś... cosie... które z daleka przypominały mknące przez nocne niebo komety. Na szczęście, kiedy cosie były już blisko powierzchni ziemi zredukowały prędkość, bo mało brakowało, a zebrani goście wpadli by ze strachu przed kraksą w popłoch. Teraz wszyscy patrzyli, jak nieznanne obiekty – a było ich pięć – delikatnie i już o wiele ciszej lądowały na ogrodowej alejce, na tej samej, po której niedawno kroczyli narzeczeni. Teraz można było się im dokładniej przyjrzeć. Na nieznanych obiektach latających stały istoty o ludzkich kształtach, ale ubrane w tak połyskujące „kreacje”, że trudno było dostrzec dokładne rysy sylwetek i twarzy. Dwie rzeczy były za to aż nadto widoczne: pierwsza z nich to ciemne okulary (zapewne na ich nosach); a druga to obłok chmury w kształcie deski surfingowej (lub deskorolki), który to był owym obiektem latającym, wydającym z siebie podczas lotu owe głośnie piski, syki, brumy i wrumy. Każdy z przybyłych gości miał pod nogami właśnie taki środek lokomocji.

– **Tajni agenci z Niebiańskiej Tajemnicy!** – krzyknął Rozum i z entuzjazmem spojrział w tłum gości wprost na Filipa Złotorękiego, który też bez trudu rozpoznał nietypowych gości.

Należy w tym miejscu przypomnieć, że jedynie Rozum i Złotoręki mieli sposobność poznać tajnych agentów ze szczytu Niebiańskiej Góry podczas ich licznych telekonferencji, jakie przeprowadzili w czasie pracy przy organizowaniu pracy w Jednostce.

– Witajcie!!! – krzyknął Filip, a za nim sam Bajdul, wychodząc gościom na powitanie.

Kolejnych kilka chwil należało do zebranych tłumnie gości weselnych, których szepety, komentarze i wszelkie odgłosy niedowierzania i zaskoczenia zdominowały powitalną rozmowę między gospodarzem zamku a tajnymi agentami. Wreszcie Gromek wraz ze swoją Malusią i olbrzymiátkami przyłożyli palce wskazujące do ust i olbrzy-

miobrzmiącym „**Ciiii...**” uciszyli emocje zebranych, tak aby można było kontynuować uroczystość.

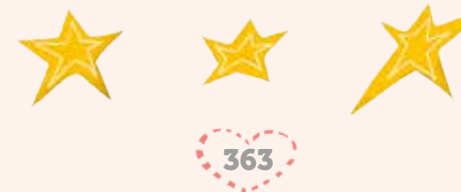
– Przybyliśmy do was prosto z Niebiańskiej Tajemnicy wraz z Miłością, aby wszystkich powitać i towarzyszyć narzeczonemu w tak ważnej dla nich chwili – oznajmił wszem i wobec jeden z tajnych agentów, którego na potrzeby opowiadania nazwę Nr 1. A ponieważ tajni agenci nie zdradzają swoich tajnych imion, kolejnych czterech nazwę kolejno: Nr 2, Nr 3, Nr 4 i Nr 5.

– Gdzie ona jest? – zapytał Rozum rozglądając się wokoło. – Gdzie jest Miłość?

– **Jak to gdzie?** – dziwił się pytaniu tajny agent Nr 2. – **Tu, wśród was.** Miłość nie od razu dostrzeże się oczyma – Nr 2 wskazał palcem na swoje okulary. – Najpierw trzeba ją zaprosić do serca i zacząć nią żyć w każdej chwili życia. Dostrzegać ją oczyma serca. Dopiero potem można wprost podziwiać jej obecność. O! – tajny agent wskazał na panią, znad głowy której tamten pan przegonił drapieżnego komara. Tę panią nie ugryzł komar dzięki trosce tego pana. Babcia krasnalowa może uczestniczyć w uroczystości bez bólu nóg. Słońce nie zaszkodzi tym, którzy nie zmieścili się w cieniach drzew, a niższych wzrostem nic nie ominie. To jest Miłość, na której przybycie czekacie. Wystarczy najpierw spojrzeć na nią sercem, podjąć odpowiednią, mądrą decyzję troski o szczęście drugiego człowieka, a potem podziwiać jej owoce wokół. Chcecie ją zobaczyć w jeszcze jednej, wyjątkowej odsłonie?

– **Tak! Chcemy!** – odezwały się co odważniejsze głosy z tłumu.

– To oddajmy głos narzeczonemu – dopowiedział tajny agent Nr 4. – W tej chwili nikt inny nie widzi sercem Miłości tak dokładnie jak oni. I tak się nią zachwycili, że zaraz będziemy naocznymi świadkami ich decyzji. Rozumie, możesz zaczynać jako pierwszy!



KRAINA WIERNOŚCI



Jak się wkrótce okazało, Kraina Wierności krajobrazowo bardzo przypominała Krainę Mądrości. Nic dziwnego, przecież sąsiadowała z nią po lewej stronie. W dolnej części stykała się z Krainą Przebaczenia, a górną częścią i prawą stroną graniczyła z chmurną ścianą. W zasadzie Kraina Wierności była jedną wielką kwiecistą łąką, ale nie rosło na niej żadne drzewo. Za to... zamiast niego, na środku łąki stał **warsztat kowala**. Pracował przy nim korpulentnej postury wąsaty mężczyzna w sile wieku. Nie sposób było się nie domyśleć, że był kowalem.

W jednej dłoni dzierżył metalowe, długie szczypce, którymi przytrzymywał kawałek rozżarzonego metalu. W drugiej dłoni trzymał młot, którym – raz po raz – z hukiem uderzał w rozżarzony metal nadając mu odpowiedni kształt. Akuratnie pogoda w Krainie Wierności była wyjątkowo piękna. Słonecznemu, wręcz upalnemu dniu dodawały uroku różnobarwne bańki mydlane, które wietrzyk unosił w powietrzu do góry, coraz wyżej nad Krainę Wierności. Kiedy większość zachwycała się urokiem owego miejsca, Wyobraźnia stwierdziła, że ciężko pracujący kowal jakoś jej nie pasuje do obrazu łąki z kwiatami i bańkami mydlanymi unoszonymi z lekkością przez wiatr.

– **Kto puszcza te bańki?** – zapytała, bo było ich wiele, a jakoś nie mogła dopatrzeć się nikogo, kto by je wydmuchiwał.

– Nikt ich nie wydmuchuje wyjaśnił Nr 1. – Te bańki to wyczuwajki, które przynoszą ze sobą Postawoludki do Krainy Mądrości. Zawsze im jakieś towarzyszą. Mają ogromny wpływ na gwałtowne zmiany pogodowe, więc poprosiliśmy wiatr, aby zwiwał je do Krainy Wierności. Kowal, który zwie się **Strongman Kowalski**, jest dla

wyczuwajek bardzo gościnny i nie obawia się zamieszania, jakie czasem powodują. Bo wiecie... Kiedy większość wyczuwajek to te radosne, nad Krainą Wierności jest piękna pogoda, czasem nawet, tak jak teraz, kowal musi okrywać głowę przed słońcem słomianym kapeluszem i używać kremu ochronnego na ramiona i nos. Ale... kiedy Postawoludkom towarzyszą w większości bolesne wyczuwajki, te kumulują się nad Krainą Wierności, tworzą burzowe chmury, które, uwierzcie mi, wcale nie są miłutkimi obłoczkami...

– I co wtedy robi Strongman Kowalski? – zapytał książę i zaraz sam spróbował sobie odpowiedzieć: – Pewnie zamyka warsztat i zaprzestaje produkcji. Tylko gdzie chroni się przed niekorzystną aurą?

Tajny Agent Nr 3 pokiwał przecząco głową.

– Nie zapominaj, książę – dodał po chwili – że jesteśmy w Krainie Wierności. **Kowal nigdy, przenigdy nie ustaje w pracy**. Jego misją jest nieustanne wykuwanie wihajstrów dla Mędrca Dziadunia. Każdego dnia, każdej nocy, każdej chwili wiernie wyrabia różne sposoby okazywania miłości. Zanim tu przybyliśmy, pytałeś, Rozumie, co się stanie, jeśli Mędrcom Dziaduniowi skończą się wihajstry na srebrzystej obręczy. Otóż... dzięki wierności **one nigdy się nie skończą**, bo wierny kowal wiernie je wykuwa, i tak już pozostanie.

– Nawet w czasie burzy, narażając się na ziąb, niewygody i niebezpieczeństwo? – dociękał książę.

Tajny agent nie zdążył odpowiedzieć na to pytanie, bo oto... znad Krainy Mądrości wiatr przywiał nagle całe mnóstwo bolesnych wyczuwajek, które w mgnieniu oka zamieniły się w siwą chmurę. Tajni agenci mieli zaledwie chwilę, aby w każdym statkochmuroniosie uaktywnić przeźroczystą kapsułę ochronną, pod którą oni sami i goście mogli bezpiecznie i w suchych ubraniach oglądać dalej to, co działo się w Krainie Wierności. Kiedy gościom minął zachwyt nad technicznymi możliwościami statkochmuroniosów, ponownie skupili uwagę na Strongmanie Kowalskim. Zauważywszy gradowe widmo, odłożył na chwilę narzędzia pracy i sięgnął do okazałej skrzyni, która stała tuż obok warsztatu. Podniósł jej ciężkie wieko, zdjął z głowy słomiany

kapelusz, okulary przeciwsłoneczne i wrzucił to do wnętrza skrzyni. To samo uczynił z kremem przeciwsłonecznym. Potem sięgnął ręką w głąb skrzyni i wyciągnął z niej solidny płaszcz przeciwdeszczowy z głębokim kapturem i przezroczystą przyłbicą. To wszystko miało go chronić przed gradem i ulewą. Ubrał się szybko w ten strój ochronny, niczym **rycerz w swą zbroję wybierając się na bitwę**.

I w samą porę, bo właśnie rozszalała się paskudna burza z piorunami i gradobiciem. Ale Strongman Kowalski zachował spokój – był przecież doskonale zabezpieczony. Wziął w dłonie swoje narzędzia pracy i wrócił do wykuwania akuratanego wihajstra. Nie odszedł z miejsca pracy; nie porzucił swej misji, ale jednocześnie zrobił wszystko, aby **ochronić się przed nawałnicą**. A burza, jak to burza, była gwałtowna, ale nie trwała długo. Niebawem wiatr przywiał o wiele radośniejsze wyczuwajki, które diametralnie poprawiły pogodę. Kowal znów na moment przerwał pracę, pozbył się przeciwburzowej „zbroi” i wybrał ze skrzyni coś lekkiego na wiatr, aby się nie przeziębic, zanim słońeczko ogrzeje powietrze.

Tajni agenci dezaktywowali kapsuły ochronne na statkochmuroniosach. Wszyscy mogli teraz odetchnąć świeżym, poburзовym powietrzem.

– A więc na tym polega mądra wierność... – myślał głośno Rozum. – **Wytrwać w realizacji swej misji i jednocześnie, jeśli jest potrzeba, bronić się przed niebezpieczeństwem...** Jak Strongman Kowalski, który wykuwa wihajstry, zawsze i pomimo wszystko, ale zawsze z mądrością i rozwagą.

– A jak wykute wihajstry trafiają do Mędrca Dziadunia? – ciekawiła się księżniczka.

– Właśnie o to samo chciałem zapytać – dodał Rozum. – I jeszcze o to, skąd kowal bierze materiał na opał do kowalskiego pieca... i metal na wihajstry... i wodę do schłodzenia rozgrzanego metalu, skoro nieprzerwanie jest wierny swej misji?

– Niech kolejne mądre i ciekawe pytania ponaglą nas do dalszego zwiedzania. Ruszajmy do Krainy Przebaczenia! – zarządził Nr 1, po czym silniki statkochmuroniosów włączyły się, gotowe do drogi...



KRAINA PRZEBA-CZENIA

Kraina Przebaczenia stanowi centrum Niebiańskiej Tajemnicy i jest zewsząd otoczona pozostałymi wielkimi krainami. Idąc zgodnie z ruchem wskazówek zegara, od godziny 10.00, są to kolejno: Kraina Mądrości, Wierności, Kraina Chcesiów i Nie-

chcesiów i Kraina Wolności. Najważniejszym miejscem Krainy Przebaczenia jest grzbiet szczytu Niebiańskiej Góry. Na owym grzbiecie, w najbardziej dogodnym miejscu osadzony jest grubaśny i wygodny do siedzenia pień. Właśnie na tym pniu przesiaduje urocza panna o niezwykle długich, pięknych blond włosach. **Nie jest to zwykły pień**. Służy on nie tylko pannie, ale stanowi również środkową część huśtawki-konika. Tak, huśtawki! Takiej, jakich pełno na placach zabaw. Od pnia odchodziły w dwie przeciwne sobie strony końce długaaśnej deski – tak długaaśnej, że jeden koniec zawędrował do Krainy Wolności, a drugi rozgościł się w Krainie Chcesiów i Niechcesiów. Ale wróćmy teraz do naszej panny, bo to na niej skupiły się spojrzenia gości, którzy właśnie nadlecieli na statkochmuroniosach. Panna, siedząc wygodnie na pniu, zazwyczaj czesała swoje piękne włosy, dbając o to, aby opadały tam, gdzie są potrzebne. W czasie tej czynności przyglądała się dociekliwie dziecięcym marzeniom, które śmigły tu i ówdzie wokół szczytu, pragnąc dostać się do wypływającego ze skały źródła, aby się w nim przeglądać. **Źródło to było początkiem Mądrorzeki**. W tym czasie panna zerkała roztropnie na Chcesie i Niechcesie, pilnując, aby stwórki nie zrobiły sobie krzywdy podczas rozbrykanych zabaw na huśtawce. Panna wyglądała pięknie, dostojnie, uroczo i przyjaźnie. Miało się ochotę przysiąść przy niej i pogadać o tym i owym, bez uczucia skrępowania, jakie zwykle towarzyszy nowym znajomościom.

W rolach głównych



Miłość i Wolność



Wyobraźnia



Rozum



Król Bajdul



Filip Złotoręki



Fikumik



Lenimag



Miś Przytuliś



Jeżokulka



Elf



Królewski Paź



Krasnal



Skrzat Skrzetyśław



Gobliny



Księżę i księżniczka



Kropek



Wyczuwajki



Smok Gburek



Królowa Żabka



Olbrzym Gromek

wystąpili:



Róża sercowata



Pucus Glistuś



Sowa Mądrogłowa



Jeżokulki
Pradawnego
Kasztanowca



Stęchlniak



Robaloszkożniki
(Mszyc, Pluskwiak,
Szpetny Szpecieli,
Pordzewiacz)



Tajni agenci:
Nr 1, Nr2,
Nr3, Nr4, Nr5



Panna Pragnąca



Mędrzec
Dziadunio



Strongman
Kowalski



Siłacz Atleta



Słabościak



Niechcesie



Chcesie



Zły Wąż



oraz
Anna Kościółek – bajkopisarka,
która napisała dla Was tę książkę.

Nabierz sił przed dalszą drogą...

Idea przyświecająca powołaniu **Wydawnictwa Lupan** zaczęła kiełkować w 2013 r., gdy przystąpiłam do pracy nad moją pierwszą powieścią zatytułowaną **Cień pod lupanem**. Od tamtej pory tyle działo się w moim życiu, że nie troszczyłam się zbyt o ideę, a ta z biegiem czasu nie tylko zdążyła dojrzeć, ale też wydać owoc, stawiając mnie niemal przed faktem dokonanym. I tak w roku 2020 Wydawnictwo Lupan stało się rzeczywistością. Jego powieściowy pierwowzór jest dla mnie bardzo ważnym symbolem. Czytelnicy *Cienia pod lupanem* dobrze wiedzą, że to właśnie on stanowi swego rodzaju **ostoję** dla głównej bohaterki w przełomowych chwilach jej życia. To dzięki niemu odnajduje ona właściwą drogę w czasie życiowego kryzysu. Chwile, jakie spędziła w ożywym cieniu lupana, w dużej mierze przyczyniły się do pogłębienia jej **człowieczego JA**, przez co zwycięsko przetrwała godzinę próby... Mogła ruszyć w dalszą drogę, aby być z innymi, aby kochać i aby nadal się rozwijać.

Wydawnictwo Lupan to jednak **nie tylko książki**. One wszak dobrze czują się w otoczeniu pięknych przedmiotów. Stąd pomyśl, aby towarzyszyły im **rękodzieło**, które jest owocem niepowtarzalnych, indywidualnych talentów. I tak dopiero owe rękodzieło wraz z książkami i symboliką lupanowego cienia tworzy całość wydawnictwa, któremu powierzyłam swoistą misję. Jako że traktuję je z dużą powagą, będę bardzo dbała o to, aby czas spędzony w jego cieniu dawał poczucie obcowania z tym, co **mądre, dobre i piękne**. Zależy mi na tym, aby odsłaniać przed człowiekiem nowe horyzonty rozwoju ku wyższym wartościom. Zależy mi, aby każdy, kto skorzysta z oferty Wydawnictwa Lupan, nabrał w jego cieniu świeżych sił, zanim ruszy w dalszą drogę życia. Wszystko po to, aby wspólnie dotrzeć do celu. A ten sięga poza granicę śmierci...

Anna Kościółek

założycielka Wydawnictwa Lupan

